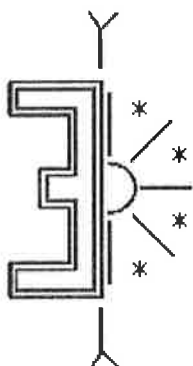


ZAWARTOŚĆ ZESZYTU:

- Bogdan Wszolek – **Nic nie wzrusza nieba bardziej, jak śmierć astronoma...** – s. 29
- Małgorzata Karolina Piekarska – **C/1966 T1 Rudnicki** – s. 2
- Stanisław Obirek – **Koniec niezwykłej biografii** – s. 4
- Honorata Korpikiewicz – **Pasuję cię, Andromedo...** – s. 6
- Ola Habdank - Wojewódzka – **Na obraz i podobieństwo...** – s. 10
- Wspomnienia – **Radzykalnie nieortodoksyjny w dążeniu do Prawdy...** – s. 11
- Tomasz M.D. Mames – **Kaplana M. Pawła krótka lekcja z teologii mistycznej o mariawityzmie.** – s. 12
- Sławomir Gołębowski – **Paweł** – s. 16
- Dawid Sulej Rudnicki – **Co Pan robił w tych butach???**
- **Chodźłem ...** – s. 22
- Dariusz Bruncz – **Ekumenizm był zwyczajnie wpisany w Jego DNA** – s. 36
- br. Izaak – **„Paradoks” będzie słowem kluczowym tego rozważania...** – s. 39
- Maria Burniewicz – **zadanie, wyzwanie**
- **perspektywa pracy nad sobą** – s. 44
- Bartosz Łuczak – **Mieliśmy Go ponownie gościć w Warszawie** – s. 46
- br. Serafin – **Goetheanizm Konrada Rudnickiego: próba pogodzenia nauki i wiary** – s. 49

PRACA nad sobą – aperiodyk mariawicki. Dostępny tylko w prenumeracie, oraz na stronie internetowej www.praca-nad-soba.waw.pl Ukazuje się nieregularnie w miarę nabywu materiałów. Dla Zgromadzenia Mariawitów wydaje F.H.U. ELWIT w Krakowie. Redaguje kolegium. Redaktor wykonawczy tego zeszytu: Janusz Andrzej Wieszczorek. Za treść artykułów odpowiadają autorzy, nie musi ona odzwierciedlać przekonań redakcji.



PRACA nad sobą

APERIODYK MARIAWICKI

Zeszyt 73

Numer Specjalny

Kraków, styczeń 2014 r.

Nic nie wzrusza nieba bardziej, jak śmierć astronoma ...

*Smuci się Księżyc, że Go nie zobaczy
na ścieżkach mknących gdzieś do teleskopów
i smuci się Słońce, że Go nie wzbudzi o świcie.
Przykro Marsowi, że nie kwitnie życiem
i Wenus smutno, że Go nie rozmarzy.
tży puści kometę, z którą jest po imieniu,
a nawet Saturn, co w każdym swym pierścieniu,
gromadzić dalej chciałby jego myśli złote.
Rozpyływa się w żalu cała Droga Mleczna
i leżkę roni zająca Andromeda.
Galaktyki Jagiellońskie, spowite w swe szaty pyłowe,
swoją głęboką smutek kumulują w sobie.
Wszelkichświat też cały, co sam może nie świadom jest granic
swojego rozwoju, pewnie smuci się także,
jeśli liczył na to, że nasz Konrad w nieskończoność będzie go badać
i przybliżać światu.
I my wszyscy, też dzieci Wszelkichświata, smucimy się bardzo
tym odejściem Brata.*

Bogdan Wszolek

C/1966 T1 Rudnicki

Pisałam o czymś innym, gdy dostałam wiadomość, że dziś w nocy (lub nad ranem) zmarł prof. Konrad Rudnicki – polski astronom, duchowny starokatolicki i teolog Kościoła Starokatolickiego Mariawitów w RP, profesor astronomii i teologii, antropozof, a prywatnie niezwykle fascynujący człowiek. Miał 87 lat. Mimo różnicy wieku byliśmy po imieniu. Znałam Konrada osobiście, bo kiedyś byłam dziewczyną jego syna Jerzego – jednego z ważniejszych mężczyzn w moim życiu. Do dziś zresztą przyjaźnię się i z nim i z jego żoną.

Pamiętam wszystkie święta, które dane mi było spędzić w domu Konrada w Krakowie z jego żoną Teresą i najmłodszym z synów – Dawidem. Pamiętam wszystkie rozmowy. Pamiętam msze w kaplicy w jego mieszkaniu. I do dziś mam list, który napisał do mnie, kiedy zmarł mój tata. Konrad był niesamowitym człowiekiem o fascynującym życiorysie. Był synem Lucjana Rudnickiego – pisarza, który za swoją działalność polityczną więziony i zesłany na 3 lata do Guberni Archangielskiej. Zbiegł stamtąd i brał udział w I Wojnie Światowej przeciw Niemcom, za co w latach 1916-1918 był internowany w Szczybiornie, Havelbergu i Modlinie. Jego matką była Maria z Szukiewiczów, która była najpierw działaczką socjalistyczną i współpracownicą Józefa Piłsudskiego, a potem komunistyczną. Brała m.in. udział w zamachu na gubernatora Skatona.

Konrad w czasie II wojny światowej wraz ze swoją matką w Piotrkowie Trybunalskim ochraniał przez okupację kilku Żydów. W styczniu 1996 odebrał za to tytuł „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” oraz medal Jad Waszem. Był partyzantem – żołnierzem Gwardii Ludowej o pseudonimie „Zemsta”, ale mówili też na niego „Twardowski”. Pamiętam jego opowieści o tym, jak przeżył palenie Gdańska przez Rosjan. Przeżył cudem. Jeden z Rosjan przyszedł ostrzec jego oddział, ale... nie usłuchali, bo nie rozumieli. Ocknęli się w nocy, gdy wszystko wokół płonęło. Konrad opowiadał, że skakali przez okno, z bodajże trzeciego piętra. Konrad przeżył skok, bo upadek zamortyzowały zwłoki jednego z kolegów, którzy skoczyli wcześniej. Była to wstrząsająca relacja.

jedynie miłość do prawdy i poświęcenie własnego ego mogą umożliwić człowiekowi zdobycie prawdziwej wiedzy. Nie postuluje, aby członków w „naukowy” sposób manipulował światami duchowymi czy zgoła Bogiem: byłaby to magia, którą antropozofia stanowczo odrzuca. Starają się one raczej uczynić relację z Bogiem – relację wiary – pełniejszą i nie czyni zaufania czy miłości zbędnymi. Przeciwnie, są one konieczne w procesie poznawczym (tak jak i na planie materialnym).

br. Serafin

Od redakcji:

19 listopada 2013 r. zebraliśmy się w Krakowie, aby odprowadzić brata Pawła – księdza profesora Konrada Rudnickiego. Wielu z nas zdarzało się już wcześniej odprowadzać Go, lub towarzyszyć Mu w podróżach. Ksiądz Profesor był bowiem człowiekiem „w drodze” i w swoich wędrówkach przemierzał nie tylko Polskę i całe kontynenty, ale nawet widzialne i niewidzialne sfery niebieskie.

Tym razem jednak, utrudzony ziemską wędrówką, kapłan Paweł postanowił wybrać się w tę podróż, którą każdy człowiek może odbyć wyłącznie sam, sam pojąc i samotnie osiągnąć celtej pielgrzymki.

My jednak, odprowadzając Go i życząc Mu szczęśliwej podróży, pozostaliśmy na tym, widocznym dla nas, skraju drogi. Głęboko przekonani, że „Jego duch żyje pośród nas”, postanowiliśmy w tym zeszycie **Pracy nad sobą**, w krótkich wspomnieniach i paru refleksjach, utrwalić naszą pamięć o Nim.

Dariusz **Brunz** – red. naczelny Ekumenicznej Agencji Informacyjnej, dr Sławomir **Gołębiowski**, Ola **Habdank** – **Wojewódzka**, prof. dr hab. Honorata **Korpikiewicz** – Instytut Filozofii UAM, Jarosław **Kubacki** – duszpasterz ekumenicznej wspólnoty w Holandii; koordynator Polskiej Wspólnoty Episkopalnej, Łukasz **Liniewicz** – prawnik-europeista; Polska Wspólnota Episkopalna, Bartosz **Łuczak**, ks. dr Tomasz M. Daniel **Mames** – Wydział Pedagogiczny ChAT, Prof. dr hab. Stanisław **Obirek** – Ośrodek Studiów Amerykańskich UW, Małgorzata Karolina **Piełkarska** – pisarka, dziennikarka prasowa i telewizyjna, Dawid Sulej **Rudnicki**, Dr Bogdan **Wszofek**, Instytut Fizyki, Akademia im. Jana Długosza w Częstochowie, oraz członkowie **Towarzystwa Antropozoficznego w Polsce**

etycznych i światopoglądowych ram. Ze świata nauki z kolei często dochodzą głosy, że religia jest w istocie naiwną wiarą, sumą nieuzasadnionych założeń i dogmatów. Oczywiście należy tutaj zaprotestować, chociaż i tę wykoślawioną formę „wiar” spotyka się w życiu. Wiara jednak ma charakter egzystencjalny, stanowi relację – szczególnie zaś w chrześcijaństwie, gdzie na czoło wysuwa się postać Chrystusa. Znaczenie greckiego słowa *pists* (zazwyczaj tłumaczonego jako wiara) to przede wszystkim zaufanie, a zaufaniem obdarzać można jedynie drugą osobę. Tak jak nie kwestionuje się miłości, którą odczuwa się w warunkach „tego świata”, poprzez analizę naukową, tak nie kwestionuje się prawdziwej wiary religijnej, która stanowi głęboką tęsknotę serca i przez to staje się dla ludzi nicą, za którą podążają w życiu. Jakis rodzaj przed-założenia jest konieczny, aby działać w świecie (alternatywą jest sceptyczny marazm): może być to założenie, że świat to fenomen czysto materialny, można działać, jakby była to prawda (czasem jest to nawet bardzo wyzwalające), ale kiedy człowiek doznaje tak głębokiego doświadczenia egzystencjalnego, jakim jest wiara, nie można jej obalić poprzez argumenty wzięte ze świata rzeczy obserwowanych zmysłami. W pewnym sensie sprowadza się to do decyzji, czy ważniejsze są rzeczy czy osoby: jeśli rzeczy, przyjmujemy postawę redukcjonistyczną i odrzucamy te wizje świata, które podmiot (a więc także ducha, ideę) uznają za podstawowe, jeśli natomiast osoby, pozostaje się im wierny (przede wszystkim Bogu, który jest początkiem wszelkiej osobowości). Wiara nie jest więc rezultatem ślepoty na fakty i odmową stawienia czoła smutnej prawdzie o świecie. Oczywiście, że niekiedy ulega takiemu spaceniu, ale i naukowa wiedza i pogoń za nią mogą mu ulegać. Czy więc goetheanizm i antropozofia odrzucają wiarę rozumianą egzystencjalnie? Uważam, że nie; raczej stara się uczynić religię bardziej świadomą, aby uniknąć naiwnej karykatury wiary, a naukę bardziej etyczną, bardziej personalistyczną. Nauka ma bowiem umożliwić spotkanie z tym, co jest postregane, rzeczywiście uczestnictwo w jego bycie. Goetheanizm podkreśla też, że

Od września 1945 Konrad studiował astronomię na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie następnie pracował naukowo przez kilkanaście lat. W 1965, podczas pobytu w amerykańskim Palomar Observatory odkrył nową komетę rejestrując ją na kliszy. Była to pierwsza kometa odkryta przez Polaka po II wojnie światowej. Od nazwiska odkrywcy nazwano ją C/1966 T1 Rudnicki. Był członkiem prezydium Komitetu Historii Nauki i Techniki PAN, członkiem Sądu Koleżeńckiego Polskiego Towarzystwa Astronomicznego oraz członkiem Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii.

Jest o nim mowa w serialu... „Wojna domowa”. Kto pamięta moment, gdy do głównego bohatera przyjeżdża przemądrzała babcia? To ona radzi czytać książkę profesora Konrada Rudnickiego „Gwiazdy i planety”. Mam tę pozycję w swojej bibliotece, oczywiście z autografem Konrada. Pamiętam, że oboje śmialiśmy się z mota serii, w ramach której została wydana, a które to motto brzmiało: „od książeczki – do biblioteczki”.

Oprócz pracy astronoma, był od 1959 kapłanem Kościoła Starokatolickiego Mariawitów oraz administratorem filii w Krakowie. Jego imiona zakonne to Maria Paweł. Ks. Rudnicki jako profesor teologii specjalizował się w teologii mistycznej. Wykładał w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie. Był także antropozofem, członkiem Powszechnego Towarzystwa Antropozoficznego i Sekcji Matematyczno-Przyrodniczej w Goetheanum w Dornach (Szwajcaria).

Był członkiem Komisji Mieszanej do Dialogu Teologicznego pomiędzy Kościołem rzymskokatolickim i Kościołem Starokatolickim Mariawitów. Jeździł wielokrotnie do Rzymu na rozmowy z papieżem Janem Pawłem II. Pamiętam wszystkie msze Konrada, w jakich dane mi było uczestniczyć. Zostałi we mnie kawałek siebie w postaci rozmów filozoficznych, antropozoficznych i astronomicznych. Przecież to dzięki niemu miałam możliwość spojrzeć w niebo przez teleskop, bo specjalnie dla mnie utworzył kiedyś kopułę obserwatorium na Skale w Krakowie. Cóż... wtedy był tam dyrektorem. Nie myślałam, że będzie mi tak smutno, gdy go zabraknie. A jednak! I tylko mam nadzieję, że jest teraz wysoko w gwiazdach, które ukochał i niedaleko tej komety, którą odkrył, a która nosi jego imię.

Małgorzata Karolina Piekarska

Koniec niezwyklej biografii

Urodził się w 1926 roku, a zmarł 12 listopada 2013. Przyjaźniłem się z nim. Ta przyjaźń wiele dla mnie znaczyła. Często mówił, że i dla niego nie jest obojętne, że się znamy. Proponował mi napisanie wspólnej książki. Nie zdążyliśmy...

W 2001 roku udzielił mi wywiadu dla redagowanego wtedy przeze mnie kwartalnika „Życie Duchowe”. Może najlepszym wspomnieniem zmarłego Przyjaciela będzie przypomnienie jego słów. Jego biografia jest zupełnie niezwykła. Niestety ubywa mędrców. Kto ciekaw, może zajrzeć do Wikipedii, również KAI poświęciła mu ciepłe wspomnienie. Nie znam innych wspomnień, a powinni go wspominać nie tylko katolicy. To, co mi mówił przed laty o sobie wprawiło mnie w osłupienie, a i dzisiaj brzmi bardzo żywo, jakbym go teraz słuchał. Dodam może tylko, że droga do mariawitów prowadziła przez lekturę pism Nietzschego. Mariawitów wybrał z tego powodu, że wydawali mu się najbliżsi do Ewangelii. Dodawał też, że z dotychczasowych prac wspólnych katolicko-mariawickich wynika, że jedynym powodem odejścia od katolicyzmu była rezygnacja tych drugich z opłat za religijne usługi:

„Jestem emerytowanym profesorem zwyczajnym astronomii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Czasem prowadzę tu jeszcze wykłady monograficzne z astronomii lub biorę udział w egzaminach magisterskich, w doktoratach, habilitacjach, współpracuję też z dwiema wyższymi uczelniami poza Krakowem, ale w zasadzie moja intensywna praca dydaktyczna to już przeszłość. Natomiast nie przestaję pracować naukowo. Publikuję pryncypali, piszę i redaguję książki z zakresu astronomii i teologii, biorę udział w sympozjach i poradach roboczych. Właśnie powróciłem z posiedzenia pewnego ciała naukowego w Szajcarcii, i zaraz potem brałem udział w naukowej naradzie roboczej, jaką się u nas nazywa brzydako z angielska „workshop” – w Pradze. Jako astronom i kosmolog pracuję metodą geoteanistyczną, to znaczy świadomie poszukuję prawdy przyrodniczej, naukowej, która jest zawsze tylko drugą stroną prawd duchowych, i moja praca dla Kościoła będąca służbą dla prawdy duchowej jest naturalnym dopełnieniem mojej pracy astronomicznej i filozoficznej.

zdolnościach intelektualnych są w stanie samodzielnie sprawdzać złożone teorie naukowe. Nawet mając oprzyrządowanie do przeprowadzania badań z mechaniki kwantowej nie można osiągnąć niczego, jeśli nie posiada się odpowiedniego przygotowania teoretycznego i zdolności umysłowych, pozwalających na syntezę i interpretację danych.⁸ W istocie ludzie zazwyczaj zakładają, że teorie naukowe są słuszne, często ufając nauce czy kompetencji samych naukowców, a czasem ponieważ rozumieją metodologię swoich kolegów przez doświadczenie na własnym polu badawczym. Istnieje więc harmonia między nauką i religią, ponieważ opierają się one na tej samej zasadzie: zdobywaniu wiedzy przez działania oparte na skrupulatności i dobrej woli, przeprowadzaniu własnych badań i zaufaniu do wyników otrzymanych przez innych. To właśnie umożliwił monizm, na którym opiera się Goetheańska epistemologia.

Zamiast konkluzji

Może wydawać się, że goetheizm pomija zagadnienie wiary, która jest przecież kluczowa dla religii. W istocie, jest to pewien problem i można zadać pytanie, czy w ten sposób do pewnego stopnia nie pozbawia się religii jej egzystencjalnej unikatowości i nie przemienia jej w „naukę o światach wyższych”. Byłoby bardzo źle, gdyby była to prawda, a ostatecznie zwycięstwo nad materializmem byłoby niewielkie: zamiast naukowego materializmu mieliśmyby naukowy spirytualizm. Tak jednak nie musi być.

Często mówi się, że w nauce chodzi o wiedzę, a w religii o wiarę. Ale te terminy można rozumieć różnie. Teologowie na przykład często krytykują nowoczesność za wprowadzenie stosunku do świata opartego na wykorzystywaniu: podmiot stara się osiągnąć i kontrolować rzeczy i do tego celu stosuje naukę. Jest to z pewnością po części słuszne i trafnie krytykuje się tak zdeprawowaną formę „wiedzy” pozbawioną głębszych,

⁸ Rudnicki K., „Dialog, ale między kim?”, *Praca nad Sobą* nr 60 (2010), str. 20n.

jest duchem i, co z tego wypływa, jest tak samo poznawalny jak świat czystych idei, czysty duch, „światy wyższe”.

Pogląd Rudnickiego na związek nauki i chrześcijaństwa

Co wypływa z powyższego podsumowania poglądów antropozoficznych i goetheanistycznych, Rudnicki uznawał, że teologia polega na doświadczeniu świata duchowego. Gdyby oparta była jedynie na racjonalnym rozwijaniu tradycji, która stanowi sumę czyichś doświadczeń duchowych i komentarzy do nich, byłaby tak sucha i bezpłodna, jak nauka, gdyby pozabawiono ją zdolności przeprowadzania nowych badań i sprawdzono jedynie do dodawania przypisów do tego, co już opisano, zbadano, wykazano. Tak więc, na przykład, Rudnicki twierdzi, że dogmaty chrześcijańskie powinny stanowić przedmiot badań duchowych i że takie badania pozwoliły mu lepiej pojąć istotę tych dogmatów. Kwestionuje obiegową opinię, że nauka zajmuje się obiektywnymi faktami, zaś religia stanowi domenę opinii, utrzymując, że raczej chodzi o to, iż zdolność doświadczenia światów duchowych jest rzadka, a konflikty opinii (których nie brak i w nauce) wynikają raczej z różnych filozofii, rozumowych ram, niż z różnych doświadczeń. Fakt, że wielu naukowców nie może przeniknąć świata duchowego, wyjaśnia przez porównanie z rozmową osoby niezdolnej do widzenia kolorów z widzącą pełen zakres barw. Nie jest możliwe wyjaśnienie osobie, która barw nie postrzega, czym są widziane kolory, ani nawet przekonanie jej, że istnieją. Różnica polega na tym, że ludzie nie widzący barw stanowią mniejszość, zaś niezdolni do postrzeżeń świata duchowego - większość, oraz na tym, że zdolność postrzegania światów duchowych można nabyć, wyćwiczyć, a więc ostatecznie dostępna jest właściwie dla każdego. Odpowiadając na zarzut stawiany często „ezoteryce” – iż ta nie pozwala weryfikować doświadczeń, ponieważ polega na specjalnym przygotowaniu duchowym – wskazuje, że tylko dobrze wykształceni ludzie o odpowiednich

Można się zastanowić, czy moja tradycja rodzinna była tak daleka od chrześcijaństwa. To prawda, że moja matka była terrorystką. Współpracując z „towarzyszem Wiktoorem” (Iózefem Piłsudskim) produkowała bomby na carskich dostojników dla bojówek PPS i dostarczała broń na miejsce akcji. Potem przeszła do SDKPiL, a później konsekwentnie należała do KPRP, KPP, PPR i PZPR. Mój ojciec był współzałożycielem Komunistycznej Partii Robotniczej Polski, ale nie należy zapominać, że w młodości był ministrem, zaś matka, zanim się zajęła rozwożeniem rewolucyjnej broni, śpiewała w chórze kościelnym przy kościele farym w Radomiu pod dyktando – jeśli dobrze pamiętam nazwisko – Pawlikowskiego. Oboje przeszli dość długi okres ateizmu i ja byłem wychowywany ateistycznie. Ale to była tylko pewna epoka w życiu rodziców. Byli to ludzie żywej idei i pracy nad sobą. Zrażeni do sformalizowanego życia Kościołów końca XIX wieku, chcieli zbudować sprawiedliwość poprzez rewolucyjną zmianę systemu społecznego. Działanie dla innych nie było dla nich nigdy sloganem, ale cechą świadomie wpojaną w siebie, póki nie przeniknęła aż do charakteru. Konieczność pomagania żydom, a w końcu przechowanie w naszym domu żydówki w czasie likwidacji getta były dla matki czymś tak oczywistym, że i ona, i ja byliśmy szczerze zdziwieni, że po wojnie ktoś to nazywał bohaterstwem. Gdy przyszła Polska Ludowa, ojciec z taką samą energią starał się o dobro zapomnianych biedaków, jak i czynił starania w NKWD (niestety bezskuteczne) o zwolnienie wywiezionych do ZSRR Akowców. Brzydził się wstępującymi z oportunizmu do partii, a kontynuował przedwojenną przyjaźń z księdzem prątkiem Borowskim z Sulejowa – tak jak on idealistą, choć z odmiennego kierunku. Rodzice żyli na co dzień życiem bardziej chrześcijańskim niż niejeden dzisiejszy „chrześcijański działacz”. Wnętrze było umiecione i czyste. Brakowało w nim tylko Chrystusa. I On sam zastukał do drzwi. Najpierw do mnie, potem i do nich. Może to paradoks, ale moją religijność zawdzięczam w znacznej mierze rodzicom z okresu ich ateizmu. W domu uczyłem się praktycznego chrześcijaństwa. A matka, gdy się zraziła do komunizmu, odbyła spowiedź z całego życia i również na moich pryntycjach przystąpiła do Komuni świętej, zaś ojciec przed samą śmiercią pobogosławił mnie znakiem Krzyża. Byłem więc w młodości komunistą (od grudnia 1943 w lesie: najpierw w Gwardii Ludowej, potem Armii Ludowej, a na ostatku – do 14 stycznia 1945 – w więzieniu gestapo) i bojowym ateistą, dopóki się osobiście i bezpośrednio nie przekonaniem o istnieniu wyższych światów. Moja droga do katolicyzmu (mam na myśli starokatolicyzm mariawicki) to sprawa bardzo osobista; temat na inną rozmowę.

Nie da się o tym mówić mimochodem wśród formalnych pytań, jakie mi ojciec zadaje. Po zaoicznym ukończeniu mariawickiego seminarium duchownego, od roku 1959 jestem kaptanem. Jako kaptan prowadzę jedną z najmniejszych placówek mariawickich w Polsce, filię parafialną w Krakowie, w którym mieszka obecnie 21 mariawitów, a na nabożeństwa przychodzą również chrześcijanie innych wyznań. Ponadto wykładam dla mariawitów teologię mistyczną na Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie, a w roku 1979 zostałem wybrany ministrem generalnym Zgromadzenia Mariawitów, jednej z gałęzi Zgromadzenia założonego w roku 1893. Nasza gałąź nosząca tę najprostszą nazwę (inne gałęzie mają w nazwie dodatkowe określenia) jest ekumeniczna i jednocy wyznawców siedmiu różnych Kościołów w kilku krajach. Wydajemy po polsku pismo „Praca nad sobą”, którego jestem redaktorem wykonawczym.

Stanisław Obirek

Pasuję cię, Andromedo...

Profesora Konrada Rudnickiego poznałam w Polskim Towarzystwie Miłośników Astronomii, na Zjeździe Delegatów, bodajże w 1972 roku. Chyba było to w Planetarium w Chorzowie. Byłam wtedy młodą, dopiero co wypromowanym magistrem astronomii, a Profesor był dla mnie ogromnym autorytetem i legendą: od młodych lat czytałam przecież jego książki, a jego podręcznik licealny do nauki astronomii był dla mnie prawdziwą „biblią”. Wtedy jeszcze astronomia była oddzielnym przedmiotem w szkole; później potraktowano ją „po macoszemu” i włączono do fizyki, którą zresztą też mocno okrojono. Do dziś z pietyzmem przechowuję wszystkie Jego książki, wiele z nich jest tym cenniejszych, że z dedykacjami samego Autora.

W latach 70 pracowaliśmy razem dwie kadencje w Główniej Radzie Naukowej PTMA, której Profesor był Przewodniczącym, a ja sekretarzem. Wtedy poznałam Go nie tylko jako znakomitego erudyty i uczonego o wielkiej wiedzy (to wszak łatwo wynioskować z publikacji), ale przede

nie mają dostępu do rzeczy jako takich, ale jedynie do ich odzwierciedleń projektowanych przez umysł. Esencja rzeczy i całego świata pozostaje ukryta, niedostępna dla człowieka, który może zobaczyć, poczuć, dotknąć i napotkać jedynie projekcje uformowane przez inherentne właściwości umysłu. Epistemologia goetheańska twierdzi natomiast, że postrzeżenia zewnętrzne (smak, zapach, dotyk, obraz itd.) - wyjaśnione przez myśl - dają dostęp do istoty świata, która jest idealna. Za każdą partykularnością w świecie kryje się ogólnik, typus – idea, która może zostać pojęta przez myśl i nie znajduje się w zewnętrznym, materialnym świecie, który jest wobec niej wtórny. Człowiek więc, ze swoimi mocami poznawczymi może przeniknąć do istoty, może uczestniczyć w naturze rzeczy, odkryć ją. Steiner pisze:

„Goethe czuł gorące pragnienie odkrycia w każdym fenomenie zmysłowym ukrytej siły duchowej. Jedną z zasad jego poszukiwań było, że tajemnice wewnętrzne wyrażają się w zewnętrznych wydarzeniach i przedmiotach, i że tylko ci mogą pretendować do poznania Natury, którzy patrzą na fenomeny wyłącznie jak na litery, które umożliwiają im odczytać wewnętrzne znaczenie działania ducha”.⁷

Wychodząc od założenia, że wynik myślenia jest zawsze obiektywny (Rudnicki posługuje się tu przykładem matematycznego równania $2x^2=4$, które jest zawsze prawdziwe, nawet jeżeli w wypadku arytmetyki teoretycznej zmienia się znaczenie jednego z symboli, bowiem to, co postrzega myśl, pozostaje niezmiennie, chociaż zmienia się sposób zapisu). Goetheanizm twierdzi, że badania duchowe są możliwe i że sukces jest wyłącznie kwestią odpowiednich środków i umiejętności. Możliwe jest dojście do obiektywnej i niepodważalnej prawdy duchowej o kosmosie, człowieku i Bogu, jeżeli człowiek tylko odpowiednio się wyćwiczy i jeżeli posiada odpowiednie talenty oraz jeśli przestrzega się ścisłej dyscypliny etycznej. To forma monizmu i idealizmu, gdzie świat materialny podszty

⁷ Steiner R., *The Spiritual-Scientific Basis of Goethe's Work*, (The Mercury Press 1982), str. 10.

Poza tą skrajną wizją, gdzie redukuje się doświadczenie religijne do fenomenu fizycznego, ubocznego czy nawet pożytecznego produktu ewolucji, mechanizmu psychologicznej kompensacji porażki, strachu i straty, itd., istnieje wiele stanowisk, które nie odrzucają prawdziwości religii całkowicie, ale jednak ściśle odróżniają jej dziedzinę od nauki. Goetheańska epistemologia odnosi się do tego właśnie podziatu, ponieważ stawia sobie za cel dotarcie do jednolitej, obiektywnej wiedzy o materii i o duchu, i zapewnienie holistycznego rozwoju człowieka. Konrad Rudnicki i antropozofia wierzą, że w ten sposób powstaje pomiędzy religią i nauką pomost:

Rudnicki słusznie podkreśla, że Goethe uważał siebie „za przyrodnika, który czasem pisywał wiersze”⁵, chociaż wiele odkryć, których dokonał, i jego naukowych przekonañ jest już nieaktualna albo nieistotna dlatego, że, gdyby nie Goethe, bez wątpienia i tak zostałyby dokonane, goetheańskie intuicje metodologiczne są wciąż aktualne. Same Goethe nie rozwinął swojej epistemologii w żadnym pojedynczym dziele, ale została ona zrekonstruowana z uwag, które zamieszczał w różnych miejscach. Zajmowało się tym kilku ludzi, ale książka Steinera *Grundlinien einer Erkenntnistheorie der Goetheschen Weltanschauung* jest najbardziej znana i stanowi jedno z dwu najważniejszych źródeł dla Rudnickiego. Drugim jest dziedzictwo Fritza Zwicky’ego, uznanego astronoma, który adaptował ją do praktycznej pracy naukowej (tworząc np. koncepcję tzw. „skrzynki morfologicznej”)⁶.

Epistemologia goetheańska stanowi alternatywę dla tradycji kantiańskiej i jej ograniczeń w stosunku do poznawania rzeczy samej w sobie (*Ding an sich*). Dla Kanta wiedza o rzeczywistości nie jest możliwa, ponieważ ludzie

⁵ Rudnicki K., „Goetheanizm jako pomost pomiędzy teologią a naukami przyrodniczymi” [Goetheanism as a Bridge Between Theology and Natural Sciences], in *Materiały z interdyscyplinarnej sesji naukowej „Człowiek i Wszechświat”* (Kraków 2011), str. 145.

⁶ Vide Rudnicki K., „Metoda Morfologiczna” [the Morphological Method], *Studia Filozoficzne* 36 (1964).

wszystkim Osobę o wielkiej otwartości umysłu. Ile wtedy fantastycznych pomysłów rodziło się w Radzie.. (może dobrze, że nie wszystkie były realizowane, jak np. seminarium z pseudonauki...). Przesyłano nam bowiem wtedy liczne prace amatorów, podważające powszechnie przyjęte teorie, jak również tworzące nowy paradygmat nauki, do których należało się szczegółowo ustosunkować.

Profesor był też jedną z osób, która wprowadziła mnie do Polskiego Towarzystwa Astronomicznego; drugą był prof. Piotr Flin.



for. arch.

W latach 80 miałam przyjemność być jego doktorantką. Historia tego doktoratu mogłaby być przestrogą dla młodych i niepokornych: wymyślałam problem fascynujący, ciekawy do matematycznego rozwiązania (wyznaczanie elementów orbity tańcuszkowego upadku meteoroidów) i nie bacząc na mojego ówczesnego kierownika placówki... wzięłam innego promotora. Wszystko skończyło się wielką awanturą, odejściem z pracy (pracowałam wtedy w Obserwatorium UAM w Poznaniu), i w efekcie także rezygnacją z obowiązków promotora, który miał dosyć chmur, jakie zebrały się nad moim doktoratem. Musiałam poszukać kolejnego promotora, który będzie miał odwagę i fantazję tą pracą (i jej niesforną autorką) się zaopiekować.. Wtedy pomyślałam o Profesorze. Był w tym czasie *visiting professor*em w Szwajcarii i pracy nie mógł zobaczyć, ale... na odległość uwiertzył w jej sens i szybko się zgodził! Wtedy nie można było, jak dziś, posłać pocztą elektroniczną tekstu. Obrona odbyła się na Uniwersytecie Jagiellońskim, z czego byłam bardzo

dumna, a jeszcze bardziej z faktu, że promotorem był tak przeze mnie ceniony i lubiany Profesor. Pamiętam, że przed kolejnymi etapami przewodu, przysyłał „bojowe” pocztówki, aby podtrzymać mnie na duchu. Niektóre do dziś się zachowały...

Na Operacji 1001 Frombork nadano mi używany do dziś pseudonim „Andromeda”. Podczas uroczystej doktorskiej promocji mój Wspaniaty Promotor powiedział po łacinie: „pasujuj cię, Andromedo”... Nie wiem, czy ktoś jeszcze zwrócił na to uwagę.

Dalsze lata naznaczone były sporadyczną, choć miłą współpracą. Profesor był recenzentem w moim przewodzie habilitacyjnym i recenzentem moich dwóch książek. Zawsze bardzo ceniłam Jego życzliwe, acz krytyczne i bardzo szczegółowe uwagi.

Spotykaliśmy się na Zjazdach obu Towarzystw, ale także w puszczękowskim lesie, kiedy odwiedzał mnie jadąc z wykładami do Wyższej Szkoły Środowiska w Bydgoszczy.

Puszczękówo, gdzie mieszkam, było przecież po drodze. Dyskutowaliśmy o wielu sprawach, na ogół zgadzając się w problemach zasadniczych, ale czasem spierając jakieś przyziemne drobiazgi. Sam tak podsumował nasze rozmowy, gdy ostatni raz, w sierpniu 2013 roku mnie odwiedził.

Był dla mnie nie tylko autorytetem w sprawach astronomii - kosmologii – tu mogłam lepiej Go zrozumieć, ale także w sprawach Nieba duchowego, w które, jako człowiek zdecydowanie mniejszej wiary niż On, rozumiałam znacznie gorzej. Ponieważ interesowałam się od dawna medytacjami, przybliżał mi antropozofię i nawet swojego czasu wprowadził do Polskiego Towarzystwa Antropozoficznego.

Rozmawialiśmy dużo o zwierzętach – mam ich sporo (psy, koty, osły, konie) i cieszyłam się, kiedy podzielał moją troskę o nie i potrzebę ochrony przed cierpieniem. Co prawda, martwił się, kiedy kupowałam kolejnego konia czy przygarniałam następnego psa, obawiając się, że może zbyt mało będę miała czasu na prace naukową. Dyskutowaliśmy sprawy stosunku człowieka do zwierząt – wszak zajmował się również etyką i napisał na ten temat podręcznik. Zrozumiałe, że rozmawialiśmy także o

Goetheańska epistemologia

Nauka i religia są dziś często przedstawiane jako przeciwne sobie i fundamentalnie różne obszary ludzkiej aktywności. Oczywiście wielu nie widzi tego w ten sposób, ale bez wątplenia stanowisko to nie utraciło na popularności od czasów oświecenia i zyskało sobie współcześnie wielu wymownych rzeczników, twierdzących, że każdy musi dokonać wyboru pomiędzy faktem i fantazmatem, wiedzą i wiarą, oraz że religia powinna zostać zdemaskowana jako zwodnicza, jako uchylanie się od konfrontacji ze światem w jego prawdziwej postaci. Można zaryzykować stwierdzenie, że ten drwiący, wrogi stosunek do religii wynika – nie wykluczając innych powodów i wyższych motywów – z rodzaju filozoficznej naiwności, która polega na przyjmowaniu danych sensorycznych i płynących z nich konkluzji jako jedynego kryterium obiektywności, jedynego weryfikowalnego (czy falsyfikowalnego) doświadczenia, a więc jedynego, któremu warto poświęcać uwagę. Jednak rozważania filozoficzne sprawiają, że oczywiste przestaje być oczywiste i pewne; że ostatecznie trzeba wyjaśnić, jak możliwe jest zdobycie jakiegokolwiek wiedzy i jakie warto przyjąć przy tym założenia. Za każdym światopoglądem stoją założenia, w każdej wiedzy znajduje się element wiary, np. w to, że świat jest poznawalny (tych, którzy jej nie mają, nazywamy sceptykami, i z filozoficznego punktu widzenia nie ma sposobu, aby brak wiary w możliwość poznania uznać za nieuzasadniony. Może on być nieproduktywny, może nie wydawać się etyczny, może wydawać się nam dziwny, ale nie jest nielogiczny, nie jest oczywistym błędem). Nie wszyscy, którzy religię uznają za nieistotną czy nieprawdziwą są naiwni; niektórzy w pełni świadomie przyjęli materialistyczny światopogląd, wyjaśniając wszystkie fenomeny jako materialne, ograniczając ludzką perspektywę do świata zmysłów, ponieważ wydaje im się to najlepsze, najuczciwsze, najmniej ryzykowne. Niemniej trzeba pamiętać, że jest to także pogląd oparty na założeniu.

naukowej. Twierdzi ona bowiem, że chociaż nauka wielokrotnie pobłądziła – przyjmując błędną metafizykę czy epistemologiczne założenia Kanta – jej metody są użyteczne i, w istocie, nieodzowne w badaniach wszystkich wymiarów rzeczywistości, a nie tylko tego najbardziej rzucającego się w oczy - materialnego. Dlatego Steiner nie podważa ambicji i odkryć współczesnej nauki, lecz uznaje je i przejmuję z zapałem, chcąc przenieść światło naukowych badań na kolejne, głębsze pokłady rzeczywistości, które naiwni materialistyczni badacze XIX w. wydrwili i odrzucili, pozabawiając człowieka dostępu do samej esencji świata, jego duchowej konstytucji. Steiner bardzo uważał, by nie głosić stereotypowej stosować okultystycznych ceremonii i rytów, jak chce tego stereotypowe wyobrażenie ezoteryka. Przeciwnie, pragnął absolutnego obiektywizmu i przejrzystości, wiedzy czystej, niepodważalnych zasad i wciąż rosnącego zrozumienia. W dodatku, przynajmniej retorycznie, odznętnął się od relacji uczeń-guru, która charakteryzuje duchowość Wschodu, i rozwinął system ćwiczeń i metod, by uczniowie mogli kształtować w sobie zdolność prowadzenia samodzielnych „badań duchowych” (czy duch dociekliwości i samodzielności w badaniach nie został z biegiem lat w kręgach antropozoficznych zastąpiony poleganiem na tradycji i apoteozą samego Steinera, to pytanie, które wielu zadaje – m.in. rosyjski filozof Bierdiajew, szczególnie bliski Rudnickiemu filozof Tomberg, Prokopiuk oraz sam Rudnicki, ale tej kwestii nie chcę tutaj rozwinąć). Steiner utrzymywał, że „ta wiedza ezoteryczna nie stanowi większej tajemnicy dla przeciętnego człowieka aniżeli sztuka pisania dla tych, którzy jej nie posiadli. I tak jak wszyscy mogą nauczyć się pisać, jeśli obiorą właściwą metodę, tak wszyscy, którzy szukają właściwej drogi, zostają ezoterycznymi uczniami a nawet nauczycielami”⁴.

⁴ Steiner R., Knowledge of the Higher Worlds and Its Attainment (New York 1947), str. 25.

wegetarianizmie (unikam mięsa od wielu lat) i ogromnie ucieszyło mnie, gdy On także przestał jeść mięso, pod wpływem rad swojego lekarza, którego bardzo cenił. Wydaje mi się, że jego zdrowie poprawiło się po tym w istotny sposób.

Lubił przesiadywać nad moim matym stawkiem w ogrodzie, w którym obserwowatł białki i nartniki. Mówił, że tam najlepiej się modli i medytuje. Czasem odwiedzał mnie kolega z młodych lat – z harcerskich obozów we Fromborku, astronom, były dyrektor Planetarium w Olsztynie, mgr Zbigniew Gałęcki, Jego student z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wspomnieniom nie było końca. Konrad bardzo lubił śpiewać i śpiewaliśmy razem, we czwórkę (z moim przyjacielem, Wiesławem), przy kominku. Konrad miał niezwykłą pamięć – pamiętał o wiele więcej zwrotek piosenek, niż my; nagralam wtedy jego śpiewanie na kasetę, m.in. piosenki: „Włóczęga”, „Czerwony pas” i wiele innych. Nagranie jest kieszkie, ale dziś jest to wspaniała po Nim pamiątka. Przesłałam je Jego synowi, Dawidowi, który jako zawodowy muzyk będzie umiał poprawić.

Podczas któregoś wizyty namówił mnie do druku moich aforyzmów w redagowanej przez siebie „Pracy nad sobą”. Życzył sobie także, żebym odszukała i zebrała dziewicze jeszcze, nigdzie nie drukowane wiersze religijne mojej matki, Marii Korpikiewicz, które potem zamieszczał w „Pracy nad sobą”.

Zawsze podziwiałam jego niezwykle siły ducha, pozwalające Mu na tak ogromną aktywność naukową, dydaktyczną, pisarską i religijną, przy słabnącym już zdrowiu. Mawiał, że jeśli człowiek ma coś ważnego do zrobienia, to Bóg z pewnością da na to siły. Do ostatnich lat jeździł z wykładami do Wyższej Szkoły Środowiska w Bydgoszczy, a więc prawie przez całą Polskę. Miło mi było, że wykorzystuje w swoim wykładzie moją monografię „Kosmoekologia” (którą zresztą recenzował), ja z kolei wciąż korzystam z Jego „Cosmological Principles” prowadząc dla doktorantów wykład „Zasady kosmologiczne a rozwój Świata”.

Profesor był dla mnie wzorem nie tylko naukowej solidności i ogromnej erudycji, ale także pracowitości oraz niezwyklej pogody ducha i

życzliwości wobec wszystkich, nawet ludzi złych czy Jemu niechętnych. Pamiętam – opowiadał – jak przed wielu laty w ciemnej uliczce w Krakowie zaczął Go jakiś równie ciemny typ w celu rabunkowym. On jednak, nie wystraszony zupełnie, rozmawiał z nim z taką życzliwością i miłością, że niedoszły przestępca rozplakał się i odszedł. To chyba najlepiej świadczy o Jego sile duchowej.

=====
Andromeda – Honorata Korpikiewicz
 =====

Na obraz i podobieństwo

*Na spękanym płótnie
 harmonia barwy i światła
 w półtonach myśli i uczuć
 niestarta, wciąż niezagasa.*

*Artysta, co je malował
 na podobieństwo własne
 natożył na obraz ramy
 zbyt proste, skromne i ciasne.*

*Lecz ten zamiast wyptowieć
 targany czasu wicherą
 jaśniał, zjednywał serca
 nie szczytem był, a górą...*

*I w perspektywie zbieżnej
 gdzie niebo przecina się z ziemią
 płótno w tak skromnej oprawie
 nigdy nie było w cieniu.*

*Blask duszy i korny pokłon
 w stronę ołtarza i życia
 ogrzewał tych, co podeszli
 tych, co patrzyli – zachwycał.*

*Kiedy przyszedł dzień siódmy
 to pękły ramy, jak z dykty
 światłość obmyła horyzont
 gdy wracał do Domu Artysty...*

19.11.2013r.

**Konradowi z serca,
 Ola Habdank – Wojewódzka**

pracować samodzielnie, stawiając sobie za cel pokonanie ograniczeń z jednej strony nauk przyrodniczych opartych na filozofii materialistycznej, z drugiej zaś mistycyzmu, który uważał za irracjonalne, nieuporządkowane doświadczenie Bóstwa. W odróżnieniu od teozofii, która uformowana została przede wszystkim przez myśl Wschodu, Steiner pragnął stworzyć prawdziwie chrześcijańską, zachodnią szkołę inicjacji czy gnozy (wiedzy duchowej, „prawdziwej” wiedzy w odróżnieniu od ograniczonej wiedzy pochodzącej jedynie z postrzeżeń zmysłowych), co wyraża się ponad wszystko w antropozoficznej afirmacji ludzkiej jaźni, wartości osoby ludzkiej oraz Chrystusa jako najważniejszej postaci w ewolucji kosmosu i człowieka. Steiner przyjął jednak wiele koncepcji wschodnich, które następnie reinterpretował, jak np. prawo karmy i proces doskonalenia człowieka przez kolejne wcielenia, oraz technik, m.in. medytacji, które – wraz z własną interpretacją nadaną wielu chrześcijańskim doktrynom – sprawiają, iż antropozofię postrzega się zazwyczaj jako niezgodną z, a nawet wrogą ortodoksyjnemu chrześcijaństwu (zazwyczaj, bowiem argumentuje się niekiedy przeciwnie, co robił też Rudnicki)³.

Antropozofia, jako nowe wcielenie zasady gnozy, nosi znamiona czasów, w których powstała, z czego najważniejsze jest przyjęcie metody

³ Pisze na przykład: „Niektórzy widzą jakiś błąd w uznawanej przez antropozofów reinkarnacji. Otóż to, co antropozofowie wiedzą o niej, jest w podstawach różne od popularnych wschodnich wyobrażeń na ten temat. Ponadto trzeba pamiętać, że reinkarnacja nie była potępiona przez żaden sobór powszechny, ani przez „nieomylny” orzeczenie papieży rzymskich. Owszem czwarty sobór powszechny potępił rzekome poglądy Origenesa, że nasze dusze zgrzeszyły w świecie duchowym i za karę się wcielamy na tym świecie. Taki osobliwy pogląd jest obcy wynikom badań antropozoficznych. Warto wspomnieć, że klasyczny prawosławny podręcznik dogmatyki Malinowskiego jako jedną z możliwości pochodzenia dusz ludzkich wymienia preegzystencję, w ramach której mieści się również nauka o ponownych wcieleniach. Twierdzenie, że Bóg stwarza każdą duszę ludzką dopiero w czasie poczęcia jest opinią teologiczną wielu zachodnich teologów, ale nie dogmatem Kościoła Powszechnego. Może powiem jeszcze że brak sprzeczności pomiędzy antropozofią i Kościołem widąc również w tym, że istnieje założona w Niemczech fundacja „Sophia” która przez pierwsze kilkadziesiąt lat swego istnienia łączyła wyłączenie rzymskich katolików będących antropozofami. Uznawały ją (nie bez pierwotnych oporów) i Kościół Rzymski i Powszechnie Towarzystwo Antropozoficzne.”, J. Kubacki, Ł. Liniewicz, Wywiad z ks. prof. Konradem M.P. Rudnickim „Bóg jest rozsądnym rodzicem”, <http://dstp.rel.pl/?p=2652>.

– goetheańskiego sposobu pokonywania podziatu między nauką i religią.

Tło antropozoficzne

Jednym z głównych źródeł inspiracji Konrada Rudnickiego była antropozofia i to z niej właśnie zaczerpnął podstawy swojej epistemologii, rozumienia natury i zadań nauki oraz tego, jak nauka i religia muszą złączyć się w człowieku, gdy ten wyrusza na poszukiwanie prawdy. Antropozofia (gr. *antropos* – człowiek i *sofia* – mądrość), według definicji Prokopiuka, jednej z najważniejszych postaci tej szkoły w Polsce i tłumacza tekstów Steinera na polski to: „(...) chrystocentryczna wiedza duchowa o Człowieku Kosmicznym (jako immanentnym aspekcie Bóstwa) w jego rozwoju w wieczności i czasoprzestrzeni, a tym samym o Kosmosie jako jego (Bóstwa) przejawie”. Jako taka antropozofia jest aktualną formą gnozy – dążeniem człowieka do poznania Bóstwa. Na całość antropozofii składa się: inicjacyjny system ćwiczeń i medytacji; światopogląd; i po trzecie – bogate spektrum budowy kultury i cywilizacji alternatywnych (...)”¹.

Antropozofię stworzył austriacki filozof i ezoteryk Rudolf Steiner (1861-1925). W pierwszej fazie swojej działalności Steiner opublikował kilka dzieł filozoficznych, z których najważniejsze to *Filozofia Wolności* (1894), dostępna także w przekładzie na język polski, oraz zredagował naukowe teksty Johanna Wolfganga von Goethe, którego światopoglądem był zafascynowany. W 1904 r. został sekretarzem Towarzystwa Teozoficznego², które opuścił jednak w 1913 r., gdy jego przewodniczący ogłosił, iż Chrystus wcielił się ponownie i że ustalono jego nową tożsamość. Wtedy Steiner założył Towarzystwo Antropozoficzne i zaczął

¹ Prokopiuk J., *Szkice antropozoficzne* (Białystok 2003), str. 32.

² Założona w 1875 z inicjatywy Heleny Bławatskiej organizacja promująca teozofię, synkretyczny system wierzeń głównie inspirowany się religiami Wschodu, okultyzmem, kabałą.

Radikalnie nieortodoksyjny w dążeniu do Prawdy...

O PROFESORZE KONRADZIE RUDNICKIM – WSPOMNIENIA
CZŁONKÓW TOWARZYSTWA ANTROPOZOFIGICZNEGO W POLSCE

Konrad Rudnicki – *człowiek wyjątkowy... Wybitny astronom, filozof, kapłan, antropozof, nauczyciel i przyjaciel...*

Wszystkim tym dziedzinom poświęcał się z wielkim oddaniem i dopełniając się w nich odnajdywał. Nawigował kontakty z ludźmi o różnych światopoglądach dążąc do uzyskania żywej wymiany myśli oraz pogłębionego obrazu prawdy.

Profesor Konrad Rudnicki był najstarszym członkiem Towarzystwa Antropozoficznego w Polsce. Z antropozofią zetknął się mając 20 lat, poznając w 1945 r., w czasie swych studiów w Warszawie, kolegów antropozofów. Nieco później spotkał Roberta Waltera, którego zawsze wspominał jako wielkiego ezoteryka. W Krakowie, z którym związał się na stałe po podjęciu w 1968 r. pracy na Uniwersytecie Jagiellońskim, nawiązał kontakt ze środowiskiem antropozoficznym, działającym w okresie peerelowskim nieoficjalnie. Po reaktywowaniu Towarzystwa Antropozoficznego w Polsce w roku 1991, przez pewien czas pełnił funkcję Przewodniczącego Towarzystwa. Był również członkiem Sekcji Matematyczno - Astronomicznej w Goetheanum, w Dornach w Szwajcarii – głównej siedzibie Powszechnego Towarzystwa Antropozoficznego.

Był niezwykle aktywnym wykładowcą. Od wielu lat, jeśli tylko pozwalało mu zdrowie, odpowiadał na każde zaproszenie. Miewał wykłady w Kociach Antropozoficznych w Olsztynie, Bielsku, na Śląsku, w Warszawie i oczywiście w Krakowie.

W swoich wykładach przedstawiał szerokie ujęcie tematów, a nawiązując do różnych dziedzin, prezentował starannie przemyślane, osobiste przeżyte i podejmowane z pasją odkrywcy treści, które rzucały na poruszane tematy nowe światło.

Ciąg dalszy na str. 34

Kapłana M. Pawła krótka lekcja z teologii mistycznej o mariawityzmie

Publikacje br. kapł. M. Pawła Rudnickiego, które ukazały się na łamach „Mariawity” (lata 1959-2011), organu prasowego Kościoła Starokatolickiego Mariawitów, stały się współczesnymi tekstami podstawowymi dla chcących poznać mariawicką teologię mistyczną. Treści dotyczące mistyki można spotkać niemalże we wszystkich artykułach kapł. M. Pawła a wyjątek mogą stanowić prace o charakterze historycznym oraz recenzje¹⁾.

Dzieło Miłosierdzia, zdaniem wspomnianego Autora, stanowi dynamiczną rzeczywistość. Nie jest to więc tekst zamknięty w przekazie pisemnym, lub ustnym, ale przestrzeń, w której można uczestniczyć. Ma ona jednocześnie charakter uniwersalistyczny, inkluzyjny, dostępny dla każdego, kto uznaje istnienie światów duchowych²⁾. Należy wyraźnie rozróżnić Dzieło Miłosierdzia i Dzieło Wielkiego Miłosierdzia. Dziełem Wielkiego Miłosierdzia należałoby nazwać Objawienia św. Marii Franciszki Kozłowskiej. Objawienia Założycielki stanowią tekst spisany, zamknięty, mówiący o Dziele Miłosierdzia i wyjaśniający jego naturę. Cześć Przenajświętszego Sakramentu i Maryjność to dwie podstawy Mariawityzmu - Dzieła Miłosierdzia. Nie jest ono abstrakcyjną ideą, ale ideą, która ma realizować się w świecie. Współcześnie można zaobserwować wzrost pobożności Eucharystycznej w Kościołach chrześcijańskich oraz świadomość, że tylko Wielkie Miłosierdzie Boże może uleczyć grzeszny świat. Jest to widoczne działanie Ducha Św., które ma przygotować świat na przyjęcie Dzieła Miłosierdzia³⁾. Nie jest też ono żadną doktrynalną nowością, bo jego istota zawiera się w nauce tradycji Kościoła Powszechnego oraz Ojców Kościoła, a z tego wynika uniwersalizm Mariawityzmu.

Punktem wyjścia dla refleksji nad istotą Mariawityzmu jest odwołanie się do nauki o grzechu pierworodnym. W perspektywie mistycznej największym grzechem człowieka jest odczuwanie siebie jako coś odrębnego od Boga. Pisze br.

Goetheizm Konrada Rudnickiego: próba pogodzenia nauki i wiary

Br. Paweł, oprócz innych dziedzin nauki, zajmował się także metodologią nauk, w tym epistemologią (nauką o poznaniu jako takim). Właśnie temu poświęcony jest ten szkic, który stanowi skróconą wersję przyczynku napisanego w języku angielskim w ramach programu studiów „*Christianity and Society*” w Tilburgu (Holandia). Czytając go, należy pamiętać, że dla tamtejszego czytelnika było to pierwsze spotkanie z osobą br. Pawła i prawdopodobnie z jego metodą naukową, goetheanizmem.

Epistemologia, którą w swojej pracy stosował Konrad Rudnicki, ma swoje źródło w myśli J.W. Goethego (1749 – 1832), słynnego niemieckiego poety i przyrodnika. Inspiracje Goethego zostały na przełomie XIX i XX w. rozwinięte i usystematyzowane przez Rudolfa Steinera, twórcę antropozofii – nowoczesnego prądu ezoterycznego w chrześcijaństwie - oraz później przez Fritza Zwicky'ego, z którym Rudnicki współpracował i którego uważał za swojego bezpośredniego mistrza w odniesieniu do praktycznego zastosowania metody goetheańskiej w nauce. Jako alternatywa dla epistemologii opartych na podejściu kantiańskim, goetheanizm otwiera szczególne spojrzenie na związek nauki i teologii jako dwóch ścieżek zdobywania wiedzy – wiedzy, jak zakłada, mającej zasadniczo to samo ugruntowanie, ten sam charakter. Rudnicki twierdzi, że metoda antropozoficzna (goetheanistyczna) może być pogodzona z ortodoksyjnym chrześcijaństwem, dostarczając ram dla holistycznego rozumienia świata i rozwoju człowieka. Antropozofia i goetheanizm, chociaż nie zupełnie obce światu teologii i nauki, znajdują mało uznania i rozgłosu jako poważne alternatywy dla klasycznych paradygmatów, zaś dialog pomiędzy antropozofią i „mainstreamową” teologią chrześcijańską jest znikomy. Uważam dlatego, że warto naszkicować zarys – bo nie będzie to nic ponad to

Ważnym przyczynkiem autorstwa Kapłana Pawła był również dokument przygotowany na obrady komisji dialogowej z Kościołem Rzymskokatolickim. Prezentował on najważniejsze mariawickie zasady wiary spisane w sposób żywy i odbiegający od rutyny kościelnych publikacji. Niestety, nigdy nie znalazł się on w „Mariawicie”, więc pozwoliliśmy sobie przybliżyć go wszystkim zainteresowanym na warszawskiej stronie parafalnej:

(http://www.mariawita.waw.pl/pliki/Doktryna_KSM_1998.doc.)

W ostatnich kilku latach życia Kapłana Pawła mieliśmy okazję odnowić nasze stosunki. W parafii warszawskiej zachełiliśmy organizować cykl prelekcji pod nazwą „Poznać mariawityzm”. Kapłan Paweł był stałym prelegentem a jego pogadanki np. „Co nowego mariawityzm może dać jeszcze światu?”, „Czy nasi zmarli są daleko od nas?”, „Sens i stan rozmów z Kościołem Rzymskokatolickim” cieszyły się bardzo dużym zainteresowaniem. W pamięci parafian warszawskich Kapłan Paweł zapisał się także ciekawymi releksjami wygłoszonymi w 2012 r. Czy chodziło o prelekcje czy o rekolacje, należało ehylicz czoła przed jego gotowością by dzielić się wiedzą i wiarą, mimo że wiązało się to z bardzo uciążliwymi przy jego stanie zdrowia podróżami. Fascynujące było też to, jak wielką sprawność umysłu Kapłan Paweł zachowywał do swoich ostatnich dni, mimo że przekroczył już osiemdziesiąty piąty rok życia. Mieliśmy Go ponownie gościć w Warszawie 24 listopada ubiegłego roku. Niestety, nie udało nam się już dowiedzieć, jak się obchodzić z poczczeniem własnej niegodności, bo tak miał brzmieć temat prelekcji. Myślę, że wszystkim nam będzie brakowało jego wartkiej i żywej a z drugiej strony spokojnej i głębokoprzemysłanej narracji. Niech jego kazania, prelekcje i teologiczne publikacje pomagają nam pamiętać o Bracie Pawle jako o osobie, która starała się odpracować za taskę poznania mariawityzmu wszystkimi talentami, którymi ją Pan Bóg obdarzył.

Bartosz Łuczak

kapł. M. Paweł: „to poczczenie siebie samego, samoświadomość jest z jednej strony największym grzechem człowieka. Ale - można inaczej powiedzieć - jest grzesznie nabytym skarbem człowieka różniącym go zarówno do zwierząt jak i od aniołów”⁴⁾. Z tej racji Chrystus mówi do Mateczki: „oddaj to, co posiadasz”. Święta Maria Franciszka, zastanawiając się, o co Chrystus prosi (wówczas bowiem się ofiarowała Bogu całkowicie)⁵⁾, dostrzegła, że do niej należą jej grzechy. Ofiarując właśnie je, Chrystus je uświęcił, to znaczy zniweczył (łac. destruxit)⁶⁾. Kto oddał swoje grzechy Chrystusowi, kto skorzystał w najwyższym stopniu z Miłosierdzia Bożego, ten siebie oddał Chrystusowi i żyje w nim Chrystus (zob. Gal. 2,20).

W Dziele Wielkiego Miłosierdzia jest napisane, że jak są nieustanne wysiłki Szatana przeciw Kościołowi, tak potrzebna jest Nieustająca Pomoc Maryi⁷⁾. Kapłan M. Paweł, rozwijając tę myśl, zauważył, że Świat jest w czasach przełomu, ogromnych zmian natury społecznej, politycznej, technologicznej, czy gospodarczej. Są złe duchy, które chcą zahamować przebieg dobrych zmian lub je przyspieszyć. Są także i inne rodzaje złych duchów, których działanie zmierza do zagłady świata materialnego. Jednym z nich jest Mefistofeles (Antychryst). Jego celem jest oderwanie człowieka od spraw duchowych, od wiary, nadziei i miłości. Chce on zwiadczać człowieka z tym co fizyczne, niskie, materialne. Co prawda może czynić ludzi łagodnymi i pokornymi, ale nie potrafi przemieniać dusze; może wprowadzić pokój i ład, ale nie będzie to świat ludzi kochających się: „gdy Szatan wcielił się kiedyś, gdy przyjmie postać człowieka, będzie całkowicie opamowany, pozbawiony jakichkolwiek namiętności, idealnie wyrachowany, zupełnie oderwany od duchowego zapachu”⁸⁾. Mariawityzm, Dzieło Miłosierdzia, daje tę nadzieję Ludzkości, iż wskazuje na duchy wyższych hierarchii duchowych, które opiekują się ludźmi, i im towarzyszą. Lecz przede wszystkim to sam Chrystus, który odjął władzę kapłanom nad ludem, teraz sam kieruje duszami ludzkimi⁹⁾. My, ludzie, mamy mieć świadomość, że On jest cały czas przy nas.

Człowiek zatem powinien sobie uzmysłowić, że Chrystus wie lepiej kiedy i w jaki sposób objawić ma nam swe działanie¹⁰⁾. Potrzebna jest jednak synergia, współpraca z Łaską Bożą, dzięki której można poznać i uwierzyć w Syna Bożego. Może odbyć się to trzema drogami. Chrystusa można poznać i uwierzyć w Niego poprzez studia teologiczne lub też ćwiczenia mistyczne. Jest i trzecia droga, dostępna dla współczesnego człowieka: „możemy wewnętrznie osiągnąć poczczenia prawdy, jeśli wzmocnimy ją Łaską Bożą, też zdobyć prawdziwą, niezłomną wiarę w Chrystusa i Jego zbawczą moc”¹¹⁾.

Mariawici są powołani to tego, aby naśladować życie Najświętszej Maryi Panny (Mariae vitam imitantes). Oczywiście powstaje pytanie, w jaki sposób grzeszny człowiek może naśladować Istotę Niepokalanie Poczętą. Maryja jest pełna łaski, przelaskawiona (kechateromene), ale i my sami, gdy przyjmujemy Chrystusa do swego wnętrza, poprzez Komunię św., stajemy się napełnieni Łaską Bożą. Nie my sami jesteśmy niepokalani, ale to Chrystus w nas jest bezgrzeszny, niepokalany¹²⁾. Naśladować Maryję oznacza zewnętrznie spełniać jak najlepiej swoje osobiste powołanie, a wewnętrznie rozwijać się, być w tym ukrytym dla świata. Oznacza to także zgadzać się z Wolą Bożą tak jak czyniła to Maryja. Nie chodzi o to, by każdą zmianę losu postrzegać, jako zmianę na gorsze, a życie spozstrzegać w kategoriach cierpienia i udruki. Chodzi raczej o to, by wznieść się na wyższy stopień świadomości i zobaczyć, że cierpienie oczyszcza i udoskonala, a tym bardziej cierpienie, będące ofiarą za innych. W tym objawia się „dwoista natura każdego ciężkiego przeżycia, gdyż obok strony bolesnej ma ono i stronę chwalebna”¹³⁾. Staje się ono wówczas darem dla innych ludzi. Dar może tylko przynieść pożytek, jeśli zostanie ofiarowany Chrystusowi, i przez Niego innym. Dotyczy to zarówno daru duchowego, jak i materialnego. Każdy ma coś do dania światu. Ale to Chrystus ma moc przemieniać nasze chęci i dobre zamiary, jak to uczynił wobec chłopca, który miał zaledwie pięć chlebsów i dwie ryby (zob. J 6,1-15)¹⁴⁾. A zatem w Dziele Miłosierdzia nie idzie o umartwienie, ale o wnoszenie do świata, poprzez nasze działania, świętości.

Pójście drogą maryjną oznacza także naśladować Bogurodnicę w Jej pokorze. „W pokorze nie tyle idzie o to, żeby się uważać za złego, ile o to, żeby się uważać za gorszego niż lepszego od innych¹⁵⁾”. Jeśli się uważam za lepszego, to pogardzam innymi ludźmi. Nie ma człowieka, w którym nic dobrego nie można odkryć. Dlatego należy zdawać sobie sprawę z własnych wad, ale też i z własnych zalet. Powinniśmy w każdym człowieku dostrzec iskrę bożej dobroci. Podstawą pracy wewnętrznej jest stałe oczyszczanie własnego wnętrza, postępowanie na przód. Łaska Boża jest wówczas skuteczna, gdy wyjdziemy na przeciw niej. Marząc o wielkich czynach dla Boga nie wolno zapominać o tych małych, codziennych, bo mały czyn ma niekiedy wielki skutek¹⁶⁾.

mariawitów, którzy chcieliby wydawać takie właśnie oddolne pismo, w którym można by pisać w lepszym stylu i nie koniecznie tylko o najpoważniejszych rzeczach [...] Myślę, że „ukradliście” ten pomysł starszym. Ale to dobrze, niech się nie guzdrzą i też zaczynają szybko”.

Nasze kontakty wtedy się nieco rozluźniły. Jako prenumeratorka „Pracy” czytałem z uwagą jego teksty, miałem też okazję popełnić artykuł o liturgii mariawickiej do wydania jubileuszowego. Bogatszy o własne doświadczenia redaktorskie, byłem pod wrażeniem wysiłku, który wkładał on w wydawanie pisma pomimo wieku i stanu zdrowia. Aperiodyk jest dla mnie ucieleśnieniem jego pragnienia, by nie głosić Dzieła Wielkiego Miłosierdzia tak jak przed stoma czy pięćdziesięcioma laty, ale raczej starać się odczytać przesłanie Mateczki w świetle współczesności. Ze sporą ilością jego też niekoniecznie się zgadzałem, bo moją własną wizję mariawityzmu można by raczej określić jako udoskonalony rzymski katolicyzm, ale jednego nie można było mu odmówić. Jako jedyny starał się tworzyć i wprowadzać w życie spójną i całościową współczesną koncepcję interpretacji Dzieła Wielkiego Mariawityzmu.

Tak jak pioniersko podchodził do tych kwestii, tak pionierski charakter miały dwa dzieła, które po sobie pozostawił. Pierwszym z nich było pierwsze od dwudziestolecia międzywojennego wydanie Dzieła Wielkiego Miłosierdzia. Nie tylko pierwsze ale także zaopatrzone w wiele cennych przypisów, których nie zawierały wcześniejsze wydania. Nie mogłem zrozumieć, czemu mój Kościół, nie oferując żadnego alternatywnego wydania księgi objawień, którą powinien przecież znać każdy wyznawca, nie był otwarty na tę inicjatywę.

Drugie wydawnictwo to brewiarz. W Kościele, którego Założycielka usłyszała od Pana Jezusa, że odmawiając go, będzie wynagradzała Mu za kapłanów, którzy nie odmawiają go lub źle odmawiają, ta księga liturgiczna powinna mieć szczególne miejsce. Chociaż można spierać się o kształt brewiarza Zgromadzenia Mariawitów, trudno nie zgodzić się z tezą, że Zgromadzenie bardziej serio wzięło sobie tu do serca objawienia Mateczki niż Kościół, którego duchownym był jego Minister Generalny.

Mieliśmy Go ponownie gościć w Warszawie

Brata Kapłana Pawła poznałem w sposób dość niekonwencjonalny – listownie. Na jesieni 1994 r. razem z grupą młodzieży z warszawskiej parafii Kościoła Starokatolickiego Mariawitów zaczął mi wydawać miesięczne pismo pod nazwą „Nasz Głos”. Kapłan Paweł krótko potem listownie pogratulował nam tej inicjatywy. Wyraził też chęć współpracy z pismem w ten żartobliwy sposób: „[...] a jeśli dopuszczacie na swoje tamy również starszaków, to do Was czasem sam mógłbym napisać jakiś króciutki esej. Jakąś wskazówkę dziadunia dla młodych”.

W trakcie ponad trzech lat ukazywania się pisma tych esejów i wskazówek zebrano się całkiem niemało. Najbardziej znaczące z nich to cykle artykułów o tym, jak rozumieć słowo gościa i jak czytać Pismo Święte oraz „Skrytka pytań i odpowiedzi teologicznych”. Oprócz nich były też rzeczy niepublikowane – zebrat się ich prawie cały segregator.

Trudno mi sobie natomiast przypomnieć, kiedy poznałem Kapłana Pawła na żywo. W pamięci utkwił mi natomiast wyjazd do Krakowa z czasów późno-licealnych lub studenckich, kiedy zatrzymałem się u niego na kilka dni i miałem okazję poznać jego żonę i syna. Nie tylko odwiedzałem atrakcje turystyczne Krakowa (oprócz typowych miejsc, razem z Kapłanem Pawłem byliśmy w obserwatorium astronomicznym, którym wcześniej kierował), miałem także okazję uczestniczyć w sprawowanym w domowej kaplicy Mszach świętych. Zmarły nabożeństwa celebrował z głębokim pietyzmem oraz wielkim poszanowaniem i znanstwem przepisów liturgicznych, których znakomita większość kapłanów mariawickich mogłaby mu pozazdrościć.

„Nasz Głos” zakończył żywot mniej więcej wtedy, kiedy zaczęła ukazywać się „Praca nad sobą”. Co ciekawe, we wspomnianym wcześniej piśmie do naszej redakcji z 1994 r. Kapłan Paweł niejako antycypował ukazanie się aperiodyku, choć chyba spodziewał się, że ujrzy on światło dzienne nieco wcześniej. Pisał do nas: „niedawno rozmawiałem z gronem starszych

Jeśli czuję się związany z Mariawityzmem, chcę czcić Przenajświętszy Sakrament, „podporządkować się siłom Matki Boskiej” nie mogę kosztnieć przy swoich przyzwyczajeniach, ale powinienem uznać własną małość, być „maluczkim”, jak św. Franciszek z Asyżu, który najdoskonalej naśladował Pana Jezusa. Franciszek wyzwał się formalizmu. Mamny pogłębiać naszą wiedzę o Bogu, nie w sposób formalny, ale żywy, pozwalając docierać do nas działaniami Bożym¹⁷⁾.

br. kapł. M. Daniel Mames

¹⁾ Np. br. M. Paweł, Bracia Husyci. „Mariawita. Pismo Kościoła Starokatolickiego Mariawitów” [dalej: Mr.] 12/1967, s. 7-8. Tenże, Leszek Koyorć-Radzickowski. W drugą rocznicę śmierci. Mr. 9/1973, s. 15-16. Tenże, O obrządku „Opłakiwanie Chrystusa” i o Parafii Sosnowieckiej w ogóle. Mr. 2/1975, s. 6-7. Tenże, Recenzja angielskiej książki o mariawityzmie. Mr. 2/1978, s. 11-12. Tenże [Konrad M. Paweł Rudnicki] Rewizja procesu Gallileusza na „Sejji wyjazdowej” w Krakowie. Mr. 5/1984, s. 8-10. Tenże, Wielka rocznica chrześcijaństwa. Mr. 8-9/1984, s. 17-18. Tenże, Kapłan jako członek konsylium lekarskiego. Mr. 11-12/2008. Tenże, Pierwsza reguła świętego Franciszka. Mr. 10-12/2009, s. 7-9. Tenże, Mateuszka jako pisarka. Mr. 7-9/2011, s. 17-18. Zob. Tenże [Konrad Rudnicki], Przewrót kopernikański a światopogląd chrześcijański (Rozważania w pięćsetlecie urodzin wielkiego astronoma). Mr. 7-8/1973, s. 13-14. Tenże, Święty Alfons Liguori nieco zapomniany patron mariawitów. Mr. 10-12/1998, s. 9-10.

²⁾ Por. br. M. Paweł, Objawienie Dzieła Miłosierdzia. Mr. 8/1967, s. 4.

³⁾ X. M., Dzieło Miłosierdzia w Kościele Rzymskim. Mr. 4/59, s. 10. Pod inicjałami X.M. [Xsieża Maryawicel] kryją się dwaj autorzy tekstu: kapł. M. Paweł Rudnicki i kapł. M. Wiesław Urbas.

⁴⁾ br. Paweł, Objawienia siostry Marii Faustyny Kowalskiej a Dzieło Miłosierdzia Bożego. Mr. 5/1983, s. 4.

⁵⁾ Dzieło Wielkiego Miłosierdzia, Płock 2002, s. 10; 34.

⁶⁾ Zob. Dzieło Wielkiego Miłosierdzia..., s. 10-11.

⁷⁾ Dzieło Wielkiego Miłosierdzia..., s. 5.

⁸⁾ br. Paweł, Ostatnia niedziela po Zesłaniu Ducha Świętego. Mr. 11/1978, s. 7.

⁹⁾ Dzieło Wielkiego Miłosierdzia..., s. 78.

¹⁰⁾ br. Paweł, Bezpośrednie obcowanie z Chrystusem. Mr. 10/1978, s. 3-4.

¹¹⁾ br. M. Paweł, Pierwsza Niedziela po Wielkanocy, Mr. 3/1981, s. 10. Zob. Tenże, Słowo Boże czy ludzkie. Mr. 1-3/2008, s. 12.

¹²⁾ br. Paweł, Naśladowany życie Maryi. Mr. 7-12.1985, s. 5; Tenże, Naśladować Maryję. Mr. 1-3/2010, s. 7.

¹³⁾ br. Paweł, Uroczystość Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny. Mr. 4/1978, s. 8.

¹⁴⁾ br. Paweł, Czwartą Niedziela Wielkiego Postu. Mr. 3/1981, s. 7-8.

¹⁵⁾ br. Paweł, Szesnasta niedziela po Zesłaniu Ducha Świętego. Mr. 7-8/1980, s. 13.

¹⁶⁾ br. Paweł, Druga Niedziela po Objawieniu Pańskim. Mr. 1/1980, s. 9-10.

¹⁷⁾ br. Paweł, Uroczystość świętego ojca Franciszka. Mr. 10/1982, s. 8.

P A W E Ł

Było popołudnie 24 października 2013 r. W kawiami na trzecim piętrze Pałacu Staszica w Warszawie, należącym do Polskiej Akademii Nauk, oczekiwałem na prof. dr Konrada Rudnickiego – Pawła jak od lat zwracałem się do Niego używając imienia zakonnego. Zjawił się punktualnie, lekko przygarbiony, z laseczką, pełen – jak zawsze – rozpedu życiowego, uśmiechu i serdeczności. Podczas przywitania i w czasie ponad dwugodzinnej rozmowy, a nawet gdy zegnaliśmy się przy bramie uniwersyteckiej na Krakowskim Przedmieściu Paweł emanował ogromnym ciepłem. To ciepło było tak wyczuwalne, że po powrocie do domu mówiłem Żonie o szczególnej atmosferze tego spotkania. Nie zdawałem sobie sprawy, że była to moja ostatnia rozmowa z Pawłem. W skrócie poruszyliśmy tematy mariawickie, Paweł mówił o sprawach zgromadzenia, martwił się moimi kłopotami związanymi z publikacją opracowania o procesach sądowych abp M. Kowalskiego. Zabrakło czasu, aby Pawła wprowadzić w szczegóły związane z tym opracowaniem.

12 listopada przed południem dostałem SMS o treści – „Kapitan Paweł zmarł dziś rano”. I to był szok, który minął dopiero, gdy w parę godzin po otrzymaniu tej wiadomości skupiłem się na modlitwie w intencji Pawła. Wiedziałem, że kilka lat temu przeżył ciężki zawał serca, że ze zdrowiem nie było najlepiej, choć zawsze zapewniał, że jest ”zgodne z wiekiem”. Jednak Jego śmierć była dla mnie ogromnym przeżyciem. Nie byłbym na pogrzebie. Tak się złożyło, niezależnie ode mnie, że z powodu spraw zawodowych realizowanych z dala od Warszawy i Krakowa nie mogłem uczestniczyć w uroczystościach pogrzebowych 12 listopada 2013 roku na krakowskim Cmentarzu Rakowickim.

Moja znajomość z Pawłem trwała około 60 lat i rozpoczęła się późną jesienią 1953 r., lub na przedwiośniu 1954 r. Pewnej niedzieli usługiwałem jako ministrant podczas nabożeństwa w mariawickim kościele w Lublinie. Ówczesny proboszcz kapłan Romuald Gawrysiak przy końcu nabożeństwa

się greckie słowo „Theotokos”, które w naszym języku określa Bogurodnicę, współcześnie zwaną Matką Bożą.

Profesor wyraźnie dookreślił je poprzez „Rodząca Boga”. Profesor Konrad Rudnicki prowadził wykłady z charakterystyczną dla niego delikatnością, spokojem, ale i wyrazistością. W nastroju wręcz medytacyjnym. Odwracał małe karteczki, gdzie zapisane miał tylko pojedyncze słowa, które wiodły go w procesie wykładu. Wszyscy czuliśmy, jak każda myśl, która przedstawiał, była przez niego przeżyta. Była bogata przeżyciem, przemyśleniem, studiowaniem. A, co zawsze docenialiśmy, była nam tak przekazana, byśmy swoimi prostymi umysłami amatorów mądrości mogli ją pojąć, powiązać i zatrzymać do dalszych rozważań.

Profesor Konrad Rudnicki nigdy nie tworzył atmosfery sensacji wokół poruszanych przez siebie tematów. Zawsze przedstawiał je oświetlone światłem z wielu stron, rzetelnie.

Widzieliśmy też, że bardzo przejmują go dalsze losy ludzkości wobec takich poczynąń jak hodowla tkanek ludzkich czy klonowanie. Profesor mówił miękko, ciepłym głosem, pełnym sympatii. Po wykładzie zawsze proponował pytania. Zwykle do nich nie dorastaliśmy. Więc jeśli były, to niewielkiego polotu. Profesor słuchał ich zawsze z zainteresowaniem, nie komentował niedoskonałości i odpowiadał tak, że pytający mógł się zbliżyć do frapującego go tematu, a i inni słuchający mieli co notować. Zawsze też prosił, by jeśli ktoś może poszerzyć przedstawiany przez niego temat, to niechaj to uczyni.

W wielu tematach, które poruszaliśmy po wykładach jak i w prywatnych rozmowach przedstawiał myśli własne, oryginalne, ciekawe. Wyzierała z niego dusza piękna, poukładana, życzliwa, nieprzebranie bogata a zarazem młodzieńcza. Wdzięczność moja i nasza olsztyńska, za jego wkład w poszerzenie naszej antropozoficznej i zwyczajnie ludzkiej postawy wobec Wszechświata nie ma granic.

Maria Burniewicz

właśnie taki Kościół i takim ma pozostać – między innymi ze względu na ludzi, którzy nigdzie indziej się w Kościele dobrze nie czują. Pytanie jak uda nam się to zrealizować bez Ciebie, Pawle?

Amen.

(Kazanie zostało przepisane z nagrania z zachowaniem, charakterystycznych dla języka mówionego, drobnych chropowatości stylu)

br. Izaak

Zadanie, wyzwanie – perspektywa pracy nad sobą

Nazywam się Maria Burlewicz, skończyłam studia eurytmii w Hadze, mieszkam i pracuję w Olsztynie. Zajmuję się zarówno eurytmia jak i tłumaczeniem niderlandzkiego. Należę do Towarzystwa Antropozoficznego w Polsce.

Profesora Konrada Rudnickiego poznałam na jednym z jego olsztyńskich wykładów. Moje notatki sięgają roku 2001. Tematyka wykładów była różnorodna, fascynująca. Wykłady odbywały się w różnych miejscach, różnych salach, z przeciętnym audytorium 25-30 osób przeróżnych zawodów. Wśród nich było kilka osób zajmujących się studiowaniem antropozofii. Profesor zawsze przypominał słowa Rudolfa Steinera: „Możecie przyjąć moje myśli, jako hipotezy najwyższej”. Ugruntowywał w słuchaczach, że należy mieć własne odniesienie do hipotez wykładawcy. Jednocześnie często powoływał się na odniesienia do bezpośrednio greckich zapisów, co znacząco poszerzało widzenie danych zagadnień. Np. w miejsce łacińskiego tłumaczenia „pokutujcie” sugerował greckie „metanoia”, co można

rozumieć jako „zmienicie usposobienie”. To już jest zadanie, wyzwanie, perspektywa pracy nad sobą. We mnie osobiście bardzo mocno oddcisnęło

polecił mi zaprosić na śniadanie w plebanii pana siedzącego w pierwszej ławce po tzw. męskiej stronie kościoła. Jak się okazało był to dr Konrad Rudnicki, który przyjechał z odczytem do tamtejszego Uniwersytetu Marii Curie – Skłodowskiej. Wykonałem to polecenie, a potem (jako mieszkaniec lubelskiej plebanii) uczestniczyłem w spotkaniu z gościem. Słyszałem wcześniej, że dr Rudnicki prowadził comiesięczne wykłady w Płocku dla duchownych mariawickich. Wiedziałem też, że zbliżył się do mariawityzmu. Patrzyłem więc na Niego – ja uczeń szkoły średniej (tzw. ogólniaka) – z podziwem i zazdrością. Mimo mizerii mego intelektu już wówczas potrafił mnie przyjaźnić, po bratersku.

Od tamtej pory często spotykałem dr Rudnickiego (potem docenta i profesora Uniwersytetów: Warszawskiego a potem Jagiellońskiego) w różnych środowiskach. Dostrzegając mnie i poświęcał swój czas na rozmowy ze mną. Z biegiem lat umacniał mi naszą znajomość, która zasadzała się na zglębieniu zasad wiary, idei mariawickiej i ekumenicznej. Z czasem, z Jego inicjatywy, mówiliśmy sobie po imieniu, a treść naszych rozmów nabrała większej wagi intelektualnej. Paweł spokojnie, z wyrozumiałością wysłuchiwał też głoszonych najpierw przez studenta, a potem absolwenta uniwersytetu. W tamtych latach, po słynnym październiku 1956 r., uczenie tętniły dysputami w gronie profesorskim i studenckim. Nadawany wiedzą z tych dyskusji w młodzieńczym zapale ścierałem się z Pawłem, a On spokojnie korygował moje wywody, wyjaśniał i naprowadzał na właściwe drogi. Spieraliśmy się podczas spotkań w parafach mariawickich, u Pawła w gabinecie w warszawskim Obserwatorium Astronomicznym, na spacerach w warszawskich Łazienkach Królewskich. Jedną z takich rozmów dobrze zapamiętałem. Gdy po dłuższym spacerze w Łazienkach i po wymianie zdań na tematy mariawickie siliśmy aleją do głównej bramy wyjściowej- Paweł w pewnym momencie zatrzymał się, zastanowił i powiedział do mnie – „chyba masz w tej kwestii rację”. To była moja nobilitacja intelektualna.

Wyjazd naukowy Pawła do USA nie przerwał naszego dialogu. Toczył się nadal, tyle, że drogą korespondencyjną. Listowna wymiana myśli była kontynuacją omawianych wcześniej problemów, ale i dotyczyła

także początków chrześcijaństwa w Polsce. Skupiliśmy się między innymi na chrześcijaństwie wywodzącym się od misji Cyryla i Metodego. Impulsem do podjęcia tego tematu były obchody 1000-lecia chrztu Polski. Odwołując się do zapisów Galla Anonima, odkryć w Wislicy i wykopalisk przeprowadzonych w Płocku na Wzgórzu Tumskim staraliśmy się ustalić zakres i wielkość oddziaływania tej misji na ziemię Polski w jej obecnych granicach. W dyskusji Paweł wykazywał nie tylko wiedzę historyczną, ale swą przewagę intelektualną w zakresie wypracowania wniosków z archeologicznych odkryć.

Po powrocie Pawła z USA do Polski i Jego przenosinach do Krakowa (UJ) nasze kontakty osłabły. Z uwagi na spiętrzone obowiązki zawodowe i choroby moich Rodziców ograniczaliśmy się również do korespondencji. List Pawła do mnie napisany na jesieni 1985r., po śmierci mego Ojca, przyjacielski i zarazem duszpasterski, odnowił i umocnił dawną, bliską więź intelektualną. Nasze listy, pisane wówczas na maszynie zwykle na kilku stronach, dotyczyły niezmiernie istotnych spraw. Problemy wiary, religii filozofii, teologii i historii przeplatały się ze sobą. W tej dyskusji mariawityzm zajmował szczególne miejsce. Nasze rozważania dotyczyły Eucharystii, Trojcy Świętej, miejsca Matki Boskiej w Kościele, roli obrazów i świętych w Kościele, Mateczki, franciszkanizmu w dzisiejszych czasach. Uzgadniliśmy poglądy, lub po dłuższej dyskusji każdy zostawał przy swoim. Spieraliśmy się o generalia i imponderabilia. Ważnymi wydarzeniami w naszych kontaktach były moje wizyty u Pawła w Krakowie, lub Jego w moim mieszkaniu w Warszawie. Do późna w nocy toczył się często nasz dyskurs kończony wczesnym rankiem Mszą św. sprawowaną przez Pawła. Wielokrotnie wyjeżdżaliśmy do Puszczy Kampinoskiej, aby spacerując bocznymi ścieżkami kontynuować nasze rozmowy i modlić się pod przewodnictwem Pawła. To podczas nocnych dyskusji u mnie krystalizowała się idea wydawania „Pracy nad Sobą”. Z inicjatywy Pawła odbyliśmy kilka spotkań w Wierzbicy, których tematem był mariawityzm i jego rola w dzisiejszym świecie. Podczas tych spotkań narodziła się także myśl wydania objawień Mateczki, co Paweł zrealizował w 1995 r. w tzw. wydaniu krakowskim. W wykonaniu obu tych inicjatyw udało mi się nieco pomóc Pawłowi.

„Mam też i inne owce”. Półtora roku temu w Krakowie odbyła się konferencja otwierająca działalność Polskiej Wspólnoty Episkopalnej. Zgłosiło się około 25 osób. Sobota była deszczowa. Gdy przyjechalśmy na miejsce z gośćmi – biskupem Pierrem Whalonem z Paryża, prof. Danielem Siemiątkoskim z Oksfordu, żoną biskupa, Melindą Whalon – zobaczyliśmy pięć osób. Kiedy otwierałem konferencję, nie wiedziałem gdzie podziąć oczy, jak mogę spojrzeć na biskupa, któremu kazatem przyjechać z Paryża na spotkanie z pięcioma osobami. Ale wśród nich był Paweł, który uważał, że skoro Kościół Episkopalny w latach 60 i 70, udzielił jemu – polskiemu kapłanowi mariawicie – możliwości pełnienia posługi kapłańskiej u siebie, skoro dano mu możliwość zaspokojenia tego, co nazywał potrzebą swojej duszy – potrzeby bycia kapłanem – to powinien towarzyszyć Polskiej Wspólnocie Episkopalnej, gdy stawia pierwsze kroki na ziemi polskiej. On widział to jako dług do spłacenia. Półtora roku później to raczej my jesteśmy dłużnikami Pawła. Towarzyszył nam rzeczywiście za każdym razem, przy każdej okazji. Raz tylko zdarzyło się, że nie odprawił nabożeństwa – to było w styczniu, kiedy naprawdę nie mógł ruszyć się z domu. Wówczas przyjechałem na ul. św. Filipa z konsekrowanymi przez niego hostiami.

„Mam też inne owce”. Paweł był mariawitą. Dzieło Wielkiego Miłosierdzia, duchowość mariawicka, przenikały go naprawdę do szpiku kości. Był mariawitą na pewno niełatwym do strawienia dla wielu innych mariawitów, a zwłaszcza dla mariawitów w funkcjach biskupach, ale mariawitą całą duszą. A jednak w czasie tego półtora roku nie miałem nigdy wątpliwości, że miałem do czynienia ze Sługą Słowa i Sakramentu w Kościele Episkopalnym. Licencja, którą otrzymał w latach 60., i którą pokazał wówczas biskupowi Pierre'owi, to nie był tylko papier. To było świadectwo jego głębszego związku z nami, z Polską Wspólnotą Episkopalną, z Kościołem Episkopalnym, z anglikanizmem – z tymi innymi owcami, które przybyły nie wiadomo skąd – czasem cztery osoby, czasem pięć, czasem dwadzieścia (byłby zdziwiony, gdyby zobaczył nas tutaj w takiej liczbie). Miesiąc temu ktoś powiedział do mnie po nabożeństwie – jak się niestety okazało, ostatnim odprawianym przez Pawła - że wreszcie czuje się w Kościele jak w domu. Myślę, że to jest

słowo otwiera przed nami nowe światy duchowe. A jak zapamiętaliśmy go z rekolekcji Polskiej Wspólnoty Episkopalnej? Za każdym razem, kiedy powstawał program, dostawaliśmy maila, w którym bardzo delikatnie pytał: „Czy znalazłoby się trochę czasu, abym mógł coś na powiedzieć na ten temat?”. To zawsze była tylko propozycja. Szczególnie utkwiła mi w pamięci ostatnia konferencja na rekolekcjach w Puławach, gdzie mówił o swoim problemie z przebaczeniem i o tym, jak, krok za krokiem, pokonywał ten problem i jak stopniowo udawało mu się odkrywać w każdym trudnym człowieku, któremu miał przebaczyć, jakiś dar, jakąś okazję do nauczenia się czegoś.

Czy to oznacza, że okazję do nauczenia się czegoś powinniśmy czepać także z tego trudnego faktu, że Pawła nie ma już wśród nas? W jakimś sensie nadchodzi teraz czas egzaminu. Nauczyciel odszedł i przyjdzie pokazać, ile się nauczyliśmy jako uczniowie. Jednak ten egzamin będziemy zdawać świadomi, że Ten, który jest Panem życia i śmierci, mówi: „Ja pragnącemu dam darmo pić ze źródła wody życia”. Darmo. Paweł był człowiekiem, który zagadnieniu pracy nad sobą poświęcił ogromną część swojej pracy pisarskiej, teologicznej, duchowościowej. Wielokrotnie śmiał się, że Praca nad Sobą to jego czwarte imię: „Konrad Maria Paweł ‘Praca nad Sobą’ Rudnicki”. Czasami, kiedy słuchało się tego, co mówił o potrzebie rozwoju duchowego, powstawało pytanie, gdzie jest tam miejsce na to „darmo” - na dar, przyjęcie, otworzenie się. Jednak kto uważnie słuchał Pawła, zauważył, że praca nad sobą nie służyła zdobywaniu sobie nieba, lecz właśnie temu, aby otworzyć się na ten dar, na tę wodę żywą, aby stanąć przed Bogiem rzeczywiście świadomie - jako otrzymujący, ale również jako ten, kto ma coś z tym otrzymanym darem w życiu zrobić, jakoś rozwiniąć go dalej. To kolejny paradoks, zawarty w samym sercu chrześcijańskiej duchowości, która jest na pewno duchowością łaski, daru, owego „darmo” - tak jak za chwilę podejmiemy do tego stołu i będziemy po prostu z otwarta dłonią przyjmować chleb, będący tylko i wyłącznie darem - a jednak przecież będziemy go przyjmować, aby, nasyciwszy się, wyruszyć następnie w świat i być w nim świadectwem przywiązania do Ewangelii. Jest to więc jednocześnie duchowość pracy, duchowość aktywna.

Ostatnio z różnych powodów (szczególnie stanu zdrowia nas obu) ograniczaliśmy się do spotkań z okazji przyjazdów Pawła na posiedzenia komisji PAN do Warszawy, do kontaktu listownego, lub telefonicznego. Nigdy nie było to konwencjonalne, na zasadzie „co slychać?”. Dla mnie to był zawsze zaczyn do kolejnych przemyśleń i tematów do rozmów z Pawłem, który ze zrozumieniem przyjął moje dystansowanie się od zgromadzenia, którym kierował. Uszanował mój wybór podążania do Boga własną drogą.

Osobowość Pawła przyciągała, budziła zainteresowanie. Ludzie, którzy się z Nim bliżej zetknęli nie mogli oprzeć się wrażeniu, że zarówno nauka jak i kapłaństwo były Jego powołaniem. Był człowiekiem głębokiej wiary, mariażem nie z urodzenia, a z silnego przekonania. Miał ogromną charyzmę, pod wpływem której byli słuchacze uniwersytecy i odbiorcy jego nauk wygłaszanych z ambon kościelnych. Wszystkie Jego publiczne wystąpienia wiązały i logiczne charakteryzowała troska o słuchacza. Nie był demagogicznym retorem, swoje wywody prowadził w sposób zrozumiały dla słuchaczy i bez trudu skupiał ich uwagę. Jego interpretacje Biblii, czy pism teologicznych, w tym mistyków, były odkrywcze. Do czasu uzyskania świeceń kapłańskich (po których skierowano Go do pracy w innych parafiach) był niekwestionowanym przewodnikiem duchowym mariażkiej młodzieży w Warszawie. Stosując terminologię prof. Tadeusza Kotarbińskiego można powiedzieć, że Paweł był społecznym przyjacielem ludzi. Wyrozumieli w stosunku do osób o odmiennych poglądach, przekonaniach, czy zainteresowaniach. Zapamiętałem uśmiech Pawła, gdy wraz z moją Żoną oświadczyliśmy, że zrozumieliśmy tylko część treści z darowanych nam Jego opracowań z zakresu astronomii i kosmologii. Przez dziesiątki lat ani razu nie odniosłem wrażenia, że otomam do czytania z człowiekiem demonstrującym poczucie własnej wyższości. Co więcej, śmiem twierdzić, że taka refleksja towarzyszyła każdemu z rozmówców Pawła. Ten naukowiec o ścisłym umyśle chętnie sięgał i po literaturę piękną. Tak się często działo w chwilach wytchnienia i w moim mieszkaniu. Cieszył się perelkami polskiego sarmatyzmu w utworach ks. Kirowicza, ks. Baki, czy Rzewuskiego, znajdujących w mojej bibliotece. Porada - zawarta w stylizowanym na sarmatyzm

opowiadaniu Choynowskiego – udzielona polskiemu magnatowi przez służbę jak uzyskać rozgrzeszenie od opornego spowiednika („obuszkiem go”) była często w naszych rozmowach humorystycznie przez Pawła przywoływana. Paweł był osobą mającą wiele zainteresowań przekraczających zakres dyscypliny naukowej, którą zawodowo uprawiał. Był bowiem nie tylko znanym astronomem, ale i teologiem (mystykiem dużego formatu), historykiem. Nie obce Mu były arkaana muzyki. Można było więc widzieć w Pawle Człowieka Renesansu w dobrym znaczeniu tego słowa. Ta przewaga intelektualna powodowała, że Jego intencje nie zawsze były rozumiane. Był jak brylant ofiarowany Kościołowi mariańskiemu, który niestety, nie potrafił w pełni skorzystać z tego daru.

Dla Pawła to, co ludzkie nie było, obce Z uwagi na swe zainteresowania astronomiczne, w tym kosmologiczne był nieco oddalony od spraw powszednich. Przez pryzmat kosmicznych milionów lat świetlnych próbował oceniać sprawy codzienne, przyziemne z różnym skutkiem. Stąd częste nasze spory nieraz niedokończone, ponieważ za względu na wykonywany zawód byłem dla Niego zbyt przyziemny. Słuchałem kiedyś Jego wywodów o możliwości przecięcia się w nieskończoności dwóch prostych równoległych (o czym uczono mnie już w szkole średniej). Zaoponowałem przewrotnie twierdząc, że takie przecięcie będzie początkiem końca naszej cywilizacji w sensie szerokim; cywilizacji zbudowanej na pracy co najmniej dwóch równoległych kół napędzających nasze życie (transport). Paweł spoważniał i podsumował moje wywody – „a cóż my możemy wiedzieć o planach Bożych ?!” Nie chciał się godzić z wieloma decyzjami społecznymi, rozwiązaniami prawnymi, czy ekonomicznymi, uważając je za sprzeczne z naturą. Uważał je za szkodliwe i jako takie za naruszające równocześnie prawa człowieka, ale przyjmował je nie widząc szans na inne rozwiązania. Akceptował jednak konieczność spełniania obowiązków społecznych, czy obywatelskich. Po powrocie z jednego ze szkoleń wojskowych, (odbywanych już jako absolwent uniwersytetu) skarżyłem się na wyczerpujące fizycznie ćwiczenia realizowane według rosyjskiej zasady – więcej potu na ćwiczeniach, mniej krwi w walce. Paweł – partyzant z II

To właśnie ta seria doświadczeń duchowych, o których Paweł mówił stosunkowo niewiele – opisał je w swojej biografii duchowej – stworzyła go na inny wymiar rzeczywistości, ten, którego nie da się zbadać ani teleskopem, ani wziąć pod lupę, ani pod mikroskop. I również w podróz w ten wymiar wyruszył we właściwy dla siebie sposób – połączył w sobie tak niesamowitą liczbę prądów duchowych, że żadna ortodoksja ani żadna herezja nie łączy ich tak jak ten jeden człowiek. Wymienił tylko kilka z nich. Antropozofia – Paweł był jednym z największych polskich antropozofów – to prąd duchowy czerpiący z tego trzeciego filaru kultury europejskiej, obok antycznego i chrześcijańskiego: filaru zachodniej ezoteryki, z tradycji różokrzyża, Boehmeo, etc., etc. A jednocześnie jest to próba badania, zdobycia konkretnej duchowej wiedzy, o tych światach, które nie są dostępne naszym zmysłom – próba otworzenia wewnętrznego oka. Bowiem ta potrzeba również w nim była. Także w odniesieniu do świata ducha chciał być badaczem. Poszukiwanie własnego Kościoła. Wielokrotnie wspominał, że pierwsze kroki zawiody go właściwie do cerkwi prawosławnej – w trudnych dla niej czasach, kiedy po drugiej wojnie światowej dopiero się odradzała w skrajnie skomplikowanej sytuacji. W końcu trafił jednak do Kościoła mariańców. Opowiadał, że zafascynowały go dwie rzeczy. Po pierwsze wygląd liturgia: jak na owe czasy prosta, pozbawiona zbędnych ozdóbników szata liturgiczna, a po drugie prosta, uduchowiona pobożność, która potrafił ukazać w kazaniu i w rozmowie.

Trudno tego nie skojarzyć z samym Pawłem, ze sposobem w jaki on sam był z nami. W dzisiejszej Ewangelii styszemy o Chrystusie - Dobrym Pasterzu. Jest to również wezwanie dla każdego z nas – być pasterzem dla innych – a szczególnie dla tych, którzy są powołani do przewodzenia w Kościele. Sposób, w jaki robił to Paweł, był właśnie sposobem dobrego pasterza. Mam na myśli jego sposób sprawowania liturgii – prosty, pozbawiony zbędnych ozdóbników, a jednocześnie świadczący o głębokim przejęciu, głębokiej świadomości treści znajdującej się w każdym słowie. Każde słowo liturgii, gdy wypowiadał je Paweł, było naprawdę brzemienne treścią, było czymś, co należy smakować, nad czym należy się zatrzymywać, czego nie wymawia się tak po prostu, bowiem każde to

dlaczego jego wybór padł właśnie na nie. Przy czytaniu z proroka Amosa oczywiście znalazło się nawiązanie do tego jednego z głównych życiowych powołań Pawła – astronomii: „To ten, który uczył Plejady i Oriona”. Tutaj chciałoby się od razu dodać: „... i komętę Rudnickiego i supernovae”, które Paweł odkrył. To ten, którego stworcza moc rozciąga się daleko poza to, co widzimy. To właśnie badaniu Jego dzieła Paweł poświęcił potężną część swojego życia. Za każdym razem, kiedy przygotowywaliśmy się do nabożeństwa, miał miejsce pewien rytuał. Najpierw opracowywaliśmy liturgię, czytania, potem wysyłałiśmy je do Krakowa mailem i musieliśmy zrobić to w poniedziałek przed sobotą, na którą nabożeństwo przypadało, ponieważ Paweł mówił: „w poniedziałek jestem teologiem, a od wtorku do czwartku astronomem, dlatego inaczej nie będę miał czasu się przygotować”.

Przeglądałem różne komentarze w internecie pod tekstami poświęconymi pamięci Pawła i pojawiało się tam wciąż na nowo stwierdzenie, że astronomia przywiodła go do Boga. Jedni się temu dziwili, drudzy uważali, że to logiczne. A jednak było trochę inaczej, bo te wydarzenia, które otworzyły Pawła – urodzonego w komunistyczno – socjalistycznej rodzinie; syna Lucjana Rudnickiego, znanego komunistycznego pisarza i członkini PPS-u – to były wydarzenia o wymiarze bardziej egzystencjalnym niż ściśle intelektualnym. Mann tu na myśli przede wszystkim doświadczenia duchowe, które stały się jego udziałem, gdy walczył w partyzantce jako żołnierz Gwardii a potem Armii Ludowej. Bo Paweł należał właśnie do tych, którzy według dzisiejszej historiografii stali „po nieważściwej stronie”, i którzy teraz, na naszych oczach, stają się nowymi „żołnierzami wykłębymi” – o których nie należy mówić, bo podobno nie walczyli o Polskę. Pamiętam takie dyskusje, trudne rozmowy, kiedy np. nie pozwalał powiedzieć złego słowa o tak kontrowersyjnej postaci jak Mieczysław Moczar, bo to był jego dowódca z partyzantki. On, sprawiedliwy wśród narodów świata, honorowy obywatel Izraela, czuł się związany z taką osobą, jak Moczar, jednym z ludzi stojących za wydarzeniami '68 r. Jak powiedziałem, paradoksy będzie słowem kluczowym tego rozważania.

wojny – popatrzył na mnie i powiedział – „obys przez całe życie tylko pot wylewał”.

Jak każdemu człowiekowi zdarzały się i Pawłowi sytuacje o zabarwieniu nieco humorystycznym. Krótko po uzyskaniu święceń diakonatu został przez władze Kościoła skierowany do pomocy w Wielkim Tygodniu proboszczowi w parafii w Wiśniewie. W tamtych czasach do Wiśniewa jechało się z Mińska – Mazowieckiego furmanką (około 15 km), lub trakcją łączoną (10 km autobusem i 5 km furmanką). Paweł wybrał inne rozwiązanie. Przeszedł tę trasę pieszo po drogach gruntowych podczas roztopów wiosennych. Wtedy między Mińskiem a Wiśniewem nie było dróg utwardzonych. Tłumaczył, że podczas podróży chciał w samotności przemysleć pewne problemy naukowe. Do celu dotarł przemoczony i uszargany. Przez dwa dni siostry zakonne mieszkające w filii Zgromadzenia Sióstr Mariawitek przy parafii wiśniewskiej doprowadzały odzież Pawła do porządku. On w tym czasie, ubrany w pożyczone: za duże buty i zbyt obszerny habit dzielnie walczył z oporem materii ku uciesze ministrantów obserwujących te zmagania. Zapamiętałem też dwa zdarzenia z naszych spacerów w Puszczy Kampinoskiej. Pewnego grudniowego poranka, po zaparkowaniu samochodu, wskazałem Pawłowi świeże ślady buszowania dzików na granicy lasu i parkingu, a On uznał wtedy, że brak warunków do spaceru i dyskusji. Innym razem, w okresie przedwiosennym zobaczyliśmy łosia majestatycznie idącego przez podmokłe łąki. Paweł wydał wtedy decyzję, którą w wojsku określa się jako „głębokie obejście nieprzyjaciela”. W czasach, gdy już na emeryturze prowadził wykłady w Bydgoszczy, „zaginał” w drodze do tego miasta. Nie wstąpił do miejscowości, którą miał odwiedzić po drodze, ani nie dał znać o zmianie planów. Byłem ostatnią osobą, która widziała się z Pawłem w Warszawie przed Jego podróżą do Bydgoszczy. Czulen się więc szczególnie zobowiązany do wyjaśnienia co się z Nim stało. Wraz z moją Żoną do późnej nocy sprawdzaliśmy wszystkie instytucje warszawskie, które mogły udzielić wiadomości o zaginionym. Zdarzenie skończyło się dobrze; dotarł do Bydgoszczy według zmienionego planu. Potem dziwił się naszym

działaniom poszukiwawczym – „przecież nic nie mogło się stać” – tłumaczył.

W ostatnich latach Paweł z dystansem odnosił się do swoich zdrowotnych kłopotów, a wszelkie próby przyjaciół, aby oszczędzać siły kwitował zdawkowo i z humorem przywołując czasem przykład siły ducha prof. Stephena Hawkinga.

Dziękuję Opatrzności, że dane mi było cieszyć się przyjaźnią człowieka o niezwyklej biografii, niezwyklej wiedzy i zwykłej dobroci.

=====
Stawomir Gotębiowski
 =====

Co Pan robił w tych butach?? - Chodziłem...

(cztery wcielenia mojego Ojca)

To była sytuacja bardzo typowa dla Ojca. Miał wygłosić referat o Miłosierdziu na sesji ekumenicznej. Była ustalona data, godzina i miejsce. Na ogół mówił referaty z głowy – na kartce miał zapisane jedynie pojedyncze wyrazy. Tym razem jednak przygotował wersję do druku, napisaną pełnym tekstem. Tydzień przed planowaną prelekcją umarł. Ponieważ udało mi się odnaleźć ten tekst na jego komputerze – na prośbę organizatorów sesji odczytałem referat niejako zamiast niego. Okazało się, że przeczytanie tego tekstu na głos zajmuje 20 minut. Dokładnie tyle ile organizatorzy przewidzieli na poszczególne referaty. Nieraz widziałem jak ojciec przygotowując się do publicznego wystąpienia sprawdzał z zegarkiem ile ono trwa, żeby spokojnie zmieścić się w zaplanowanym czasie, ale nie sądziłem, że dotyczy to też tekstów przewidzianych do druku. Ojciec zawsze przedkładał sprawy publiczne i zawodowe ponad sprawy prywatne. Tak było i tym razem. Jego „prywatna” śmierć nie wpłynęła na fakt, że jego publiczny referat odbył się w czasie i miejscu od dawna zaplanowanym.

Dziś nie jest to wyjątkowa postawa. Wielu ojców, może nawet większość spośród tych, którzy mają pracę – żeby jej nie stracić – przedkłada ją ponad sprawy rodzinne. Ale z moim Ojcem było nieco inaczej. Po pierwsze postępował tak jeszcze w czasach, kiedy

szuczny sposób wzniósł, ale świętością unizona, uobecnioną w Sakramencie Ołtarza. Nie zapomnę miłości, z jaką ów niepozorny kapłan wypowiadał słowa, nie zapomnę skupienia i gestów, i po prostu ludzkiej dobroci. Mariawityzm stracił dobrego człowieka i wiarygodnego apostoła.

=====
Dariusz Brunec
 =====

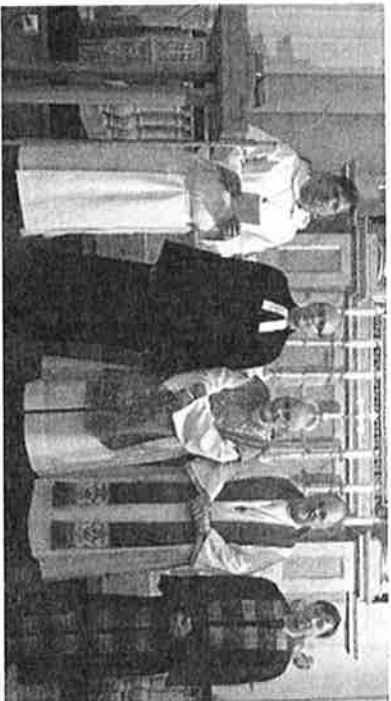
„Paradoks” będzie słowem kluczowym tego rozważania...

Kazanie wygłoszone na nabożeństwie żałobnym Polskiej Wspólnoty Episkopalnej po śmierci br. Pawła

Księga Amosa 5:8, Objawienie św. Jana 21:2-7, Ewangelia wg św. Jana 10:11-16

Pan Bóg nie miał ze mną łatwo w ostatnich dniach. Raz po raz konfrontowałem go z pytaniem, czy aby na pewno bardziej potrzebuje Pawła tam, aniżeli my tutaj. Może wydaje się wam dziwne, że można coś takiego powiedzieć, bo przecież mówi się, że nam chrześcijanom jest łatwiej obchodzić się ze śmiercią ludzi nam drogich. Tak, w pewnym sensie jest łatwiej, ale z drugiej to, że oddajemy również to wydarzenie – bez względu na to jak bardzo nami wstrząsa – w darze Bogu, nie umniejsza bólu, nie umniejsza tęsknoty, nie umniejsza poczucia opuszczenia, osterocenia nawet. To jeden z paradoksów – a paradoks będzie w tym rozważaniu słowem kluczowym – które wiąże się z odejściem od nas człowieka, którego można nazwać jednym wielkim paradoksem.

Kiedy zwróciliśmy się do ks. Grega Neala, który jeszcze miesiąc temu stał z Pawłem przy ołtarzu w kościele św., Marcina, z prośbą o pomoc w opracowaniu liturgii na dzisiejszy wieczór, bo sądziliśmy, że nie wystarczy już na to czasu przed wyjazdem z Holandii, wybrał również czytania a przy każdym z nich znajdowało się krótkie wyjaśnienie,



Fot. Ł. Liniewicz, ze zbiorów PWE

Dla mnie było jasne, że mariawityzm kochał całym sobą i zgodnie z intencją św. Zatożycielki M. Franciszki odczytywał nie przez pryzmat wąskiego konfesjonalizmu, ale w rzeczywistości, wiarygodny i pasjonujący sposób mówił o Dziele Wielkiego Miłosierdzia jako duchowym zaproszeniu dla wszystkich ludzi bez względu na wyznanie. Z drugiej jednak strony, właśnie ze względu na wyznanie, mariawityzm brata Pawła zagłębiony był w mistycznym spotkaniu z Najświętszym, był zaprzeczeniem komicznego monumentalizmu i irytującej powierzchowności, ów Pawłowy mariawityzm był w jakiejś mierze uosobieniem świętego przejęcia, które towarzyszyło Jakubowi: „O, jakimże łękiem napawa to miejsce! Nic tu innego, tylko dom Boży i brama do nieba.” 1 Moj. 28,17. Dzięki temu mariawityzm wraz ze swoimi ludowymi naleciałościami i specyficznie przeżywanym sacrum, stanowiącymi przecież ogromne wyzwanie (czasem nawet trudność) dla chrześcijań tradycji reformacyjnej, stał się ekumenicznie „strawny”, a co ważniejsze – zrozumiały.

Nigdy nie zapomnę wieczornej mszy świętej przed trzema laty prowadzonej przez kapłana Pawła w płockiej Świątyni Miłości i Miłosierdzia – było to spotkanie ze świętością, jednak nie teatralnie celebrowaną, ale wypowiedzaną na kolanach, nie patetyczną i w jakiś

obowiązywała zasada „czy się stoi czy się leży...”, po wtóre – miał kilka zawodów. Był pełnoprawnym członkiem kilku środowisk. Wszystkie były niszowe, w jakiś sposób niepopularne i – w moim odczuciu – zupełnie ze sobą niekompatybilne. Mimo to we wszystkich się dobrze czuł i wszystkie traktował jednakowo serio.



Fot. G. Kubiak, 2011

Ojciec – partyzant. Był w młodości komunistą szczerze przekonany, że bój to będzie ostatni a bratni związek ogarnie ludzki ród. Dlatego wstąpił do Armii Ludowej. Po wojnie dość szybko się z tego wyleczył. Kroplą, która przepełniła czarę było głosowanie, w trakcie którego kazano młodemu (w tym mojemu ojcu) robić sztuczny tłok przy urnach wyborczych i przepuszczać tylko tych, którzy głosowali bez skreśleń. Ojciec złożył wniosek o wydalenie z partii w 1950 roku. To nie był dobry czas na występowanie z partii. A raczej na bycie wydalonym, bo regulamin PZPR nie przewidywał wówczas możliwości dobrowolnego wystąpienia. Później Ojciec związał się z opozycją, z którą łączyło go dużo więcej niż z komunistami. Należał do Solidarności od początku jej istnienia aż do okrągłego stołu. Potem – w III RP z Solidarności wystąpił nie godząc się na politykę postsolidarnościowych rządów. Ale od swoich towarzyszy broni z AL nigdy się nie odciął. Ze środowiskiem partyzanckim utrzymywał kontakt do końca życia. Bronił AL na łamach prasy. Gdy jeden z byłych żołnierzy AK napisał w gazecie, że ałowcy, to była banda przestępców i uargumentował to konkretnymi przykładami, Ojciec odpisał mu, że przecież on sam przykłady te bierze z wewnętrznych dokumentów ałowskich sądów wojennych. Dziwni to bandyci, którzy swoje przestępstwa dokumentują i jeszcze sami się karzą, czasem przez rozstrzelanie. Taki sam artykuł można by napisać o każdej z polskich formacji partyzanckich korzystając z dokumentów ich sądów wojennych. Inna sprawa, że odział AL w którym walczył ojciec też nie był typowy. Współpracował z AK, a dowodzony był

przez niejakiego Hanicza – Borutę*, który był wcześniej akowcem i po wojnie został zdegradowany za odstępstwa od linii partyjnej i aresztowany. Oczywiście rodzinne partyzantkie opowieści nie są niczym wyjątkowym. Większość, czy spora część ludzi z mojego pokolenia miało w takiej czy innej partyzantce dziadków. Ale ojców – niewielu.

Ojciec – astronom. Zainteresował się astronomią jeszcze przed wojną, gdy chodził do gimnazjum. Jako licealista (uczeń tajnych kompletów) zorganizował obserwatorium astronomiczne w Dobrej Wodzie koło Sulejowa. Po wojnie studiował astronomię na Uniwersytecie Warszawskim. Był pierwszym powojennym absolwentem tego kierunku w Polsce. W latach sześćdziesiątych pracował w obserwatorium na Palomarze w Kalifornii, gdzie miał do dyspozycji ówczesnie największy na świecie teleskop. Pracując w Polsce, na dużo słabszych instrumentach, aby osiągnąć wyniki zbliżone do tych, które osiągnęli naukowcy na zachodzie nauczył się działać niekonwencjonalnie. Kiedy podobne metody zastosował na palomarskim teleskopie, otrzymał wyniki, których amerykańskie nie potrafiły uzyskać. W Kalifornii zrobił swoje najważniejsze prace naukowe, które – mówiąc brzydko – ustawiły go świecie nauki zarówno polskiej jak i międzynarodowej właściwie do końca życia.

Ciekawostką jest fakt, że kometę nazwaną jego nazwiskiem, którą wielu uważa za jego najważniejsze odkrycie on sam traktował jako mało znaczący drobniak. Nie szukał jej, po prostu nawinęła się na kliszę. Z dzieciństwa pamiętam Ojca, jak będąc dyrektorem obserwatorium siedział w gabinecie, czytał korespondencję, podpisywał jakieś papiery, przyjmował interesantów. Wtedy już nie obserwował – nie pozwalał mu na to pogarszający się wzrok. Ale do końca życia angażował się różne

* Bolestaw Boruta, pseud. Hanicz (1906 - 1976) – oficer polskiego podziemia w II wojnie światowej. Działał w ruchu oporu, pod pseudonimami Rawski i Hanicz. Walczył w Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej. M. in. dowódca 85 plutonu. W 1943 roku przeszedł do Gwardii Ludowej. Dowodził jednostkami GL w powiecie radomszczańskim. Dowodził także 3 Brygadą AL im. Józefa Bema. W okresie stalinowskim więziony pod fałszywymi zarzutami. Zwolniony z więzienia, a w 1956 roku zrehabilitowany.

Co oznacza: ekumenicznie? Odnoszę wrażenie, że w kontekście życia, działalności, czy po prostu służby M. Pawła, ekumenizm nie był „izmem”, a zwyczajnie wpisany był w DNA jego mariawickiej tożsamości. To ekumeniczna wrażliwość wyrosła na gruncie czci do Przenajświętszego Sakramentu umożliwiła takie spojrzenie na innych chrześcijan, które kategorii typu ‘komunia zamknięta’ odbiera co najmniej jako ponury żart – wcale nie tak rzadki w różnych środowiskach wyznaniowych, w tym i protestanckich. W słowach – czy używając nieco bardziej szumnego pojęcia – świadectwie kaptana Pawła dochodziło do głosu chrześcijaństwo, w którym różne tradycje wyznaniowe nie były wobec siebie w żadnym wypadku wrogie, przyjaźnie konkurencyjne, lecz w jakiś mistyczny sposób komplementarne. Bynajmniej nie chodzi o komplementaryzm, w którym chrześcijaństwo stanowiłoby granitowy monolit, składający się z wyznaniowych cegiełek, z których każda dokładałaby coś z wielkiego dziedzictwa danej tradycji do efektu wielkiego gmaszyska, ale o przenikanie, wpływanie i piękną fugę, inspirującą, a zarazem zapraszającą do adoracji piękną Ewangelię.

Wiemy o rozmaitych spotkaniach i związkach brata Pawła z różnymi tradycjami wyznaniowymi. Fakt, że to właśnie jemu udało się w Krakowie pozyskać luterański kościół św. Marcina do sprawowania mariawickiej mszy świętej mówi sam za siebie. Podobnie jak przychylność ze strony Kościoła episkopalnego oraz wielu innych wspólnot kościelnych – rzymskokatolickiej nie wyłączając – pokazuje ekumeniczne ukierunkowanie w życiu brata Pawła – obecność i słowa duchownych różnych wyznań na jego pogrzebie potwierdzają i przypieczętują ten kluczowy nerw w służbie M. Pawła.

Rok temu spotkaliśmy się w jego mieszkaniu na ciekawej rozmowie nt. bolesnej przeszłości mariawityzmu w czasie II wojny światowej i PRL-u.

Prof. Konrad Rudnicki był przede wszystkim człowiekiem bardzo prawym. Zawsze postępował zgodnie ze swoim przekonaniem, że to lub owo jest dobre. A kiedy zauważył, że jego mniemanie mijają się z prawdą, natychmiast poprawiał swoją pomyłkę.

Krzyszyna Zymlińska Bielsko - Biala

* * *

U prof. Konrada Rudnickiego szczególnie ujmowało mnie to, że był radykalnie nieortodoksyjny w swoim dążeniu do prawdy. Zapewne dlatego – moim zdaniem – dążył On do niej jednocześnie kilkoma drogami. W Jego wielkiej osobowości było coś z „*króla i kapłana*”; coś z teologa i filozofa; coś z poety i naukowca jednocześnie – słowem był w nim uniwersalizm. To zapewne sprawiło, że w swojej działalności ziemskiej czasem wykraczał poza granice rozmaitych powszechnie uznanych dogmatów. Podobało mi się u Niego także to, że miał szerokie zainteresowania i przy tym miał wnikliwe oko. Nic dziwnego, że stanowczo odrzucał niektóre uznane współczesne mniemania. Był niespokojny, krytyczny i wszystkiego ciekawy, ale jednocześnie bardzo starał się, aby o drugim człowieku nie myśleć jednostronnie; aby go ostrzegać szerzej, a zwłaszcza, aby ustawicznie dostrzegać w nim jego ukrytą wyższą część i tak rzeczywiście Konrad Rudnicki podchodził do każdego człowieka.

Mateusz Szoblik Bielsko - Biala

Ekumenizm był zwyczajnie wpisany w Jego DNA...

W zasadzie życie brata Pawła mogłoby być osnową dla pasjonującej powieści czy filmu przygodowego. Stwierdzenie, że kapłan Paweł był postacią nietuzinkową to tak, jakby nic nie powiedzieć. Jednak on sam nie epatował sobą, a swoją tożsamość konfesijną zdawał się żyć w sposób maksymalnie transgraniczny – tzn. ekumenicznie.

astronomiczne projekty naukowe i służył wiedzą i pomocą, gdy tylko mógł. Moja mama najbardziej ceniła Ojca właśnie jako astronoma. Poznali się w czasie gdy mama studiowała astronomię na UJ, a ojciec był wykładowcą. Dzięki Ojcu – astronomowi mogła nie pracować i zajmować się mną. A ja od czasu do czasu mogłem towarzyszyć rodzicom w wyjazdach zagranicznych.

Ojciec – antropozof. Zawsze był wierzący. Kiedy runęła Jego wizja komunizmu, w którą jako ateista mocno wierzył, zaczął szukać czegoś innego. Przez naukę trafił do goetheizmu a przez goetheizm do antropozofii. Potem przez antropozofię do chrześcijaństwa. Ale goetheanistą i antropozofem został na całe życie. W antropozofii widział świadomą, nieatawistyczną duchowość. Przyznaję, że było to środowisko, które – jako dziecko – najmniej rozumiałem i którym się najmniej interesowałem, choć było bardzo mocno obecne w życiu Ojca i moim.

Ojciec – mariańca. Gdy zdecydował się zostać chrześcijaninem zaczął szukać sobie odpowiedniego wyznania. Początkowo blisko mu było do prawosławia (które z resztą cenił do końca życia), ale zdecydował się na mariawityzm. Widział w nim bardzo wiele cech wspólnych z antropozofią. Z czasem został duchownym mariawickim. Wychowywałem się więc w malutkiej wspólnotce mariawickiej w Krakowie, której Ojciec był duszpasterzem. Msze początkowo odprawiane były w kaplicy domowej w naszym mieszkaniu. Dopiero kilka lat temu przenieśliśmy się do gościnnego kościoła Ewangelicko – Augsburskiego p.w. św. Marcina. Ale oficjalnym adresem naszej placówki pozostał prywatny adres rodziców. Rodziło to różne śmieszne sytuacje. Raz na przykład do drzwi zapukała pani z walizką i powiedziała, że chciałyby zamieszkać na plebanii. Mama cierpliwie (choć niekoniecznie w milczeniu – zawsze głośno mówiła co myśli) zносиła niedogodności związane z byciem żoną kapłana. Bardzo cenilem ojca jako przewodnika duchowego. Do dziś jestem mu wdzięczny choćby za to, że na pierwszą komunię nie dostałem nic poza drewnianym różańcem.

Cztery niejako publiczne wcielenia Ojca, z których każde ważniejsze było niż sprawy prywatne. Cztery środowiska, w których obracałem się jako dziecko, każde zupełnie inne, każde na swój sposób dziwne i nie „mainstreamowe”. Oczywiście gdy byłem mały najbardziej imponowało mi to, że Ojciec jest prawdziwym partyzantem, sierżantem a potem podporucznikiem – oficerski awans dostał już w III RP. Kazałem sobie opowiadać wszystkie akcje, w których brał udział. Ojciec śmiał się z tego, ale w gruncie rzeczy odruchy wojenne tkwiły w nim cały czas. I przeszły trochę na mnie. Na przykład jedzenie. Od czasów wojny ojciec jadł dosłownie wszystko. Nauczył mnie jeść jabłka nie tylko z ogryzkami ale i z ogonkami – co do dziś robię odruchowo. Gdy w domu coś zgniło lub zapleśniało, co zdarzało się niezwykle rzadko, wycinał tylko zepsutą część, a resztę – mimo lamentów mamy – zjadał. Nigdy się nie zatrąf. O tym, że zjadał wszystko co spadło na ziemię nawet nie wspomnę. Innym typowo partyzanckim odruchem było niezapalanie światła, jeśli nie było to konieczne. Wieczorem na klatce nie zapalał światła, drzwi otwierał po ciemku. W ogóle po zmroku lub wczesnym rankiem wszystkie czynności, które się dało wykonywać po ciemku. Nauczył mnie tego i stwierdzam, że w wielu sytuacjach jest to bardzo praktyczne. Jemu przydało się to zwłaszcza pod koniec życia, kiedy był prawie całkiem niewidomy. Jednym okiem nie widział w ogóle, drugim – bardzo niewiele. Pokazywał mi kiedyś na zapisanej kartce papieru A4 jakie ma pole widzenia, gdy patrzy w jeden punkt. To był wąski pasek. Na to nakładał się astygmatyzm. Teksty mógł czytać, ale już obrazek musiał sobie „zeskanować” po kawałku i w mózgu połączyć w jedną całość. Większość osób, która miała z nim do czynienia w ostatnich latach jego życia nie zdawała sobie sprawy, że rozmawia z człowiekiem prawie niewidomym, który miał uprawnienia do chodzenia z białą laską. Ale nie używał jej, bo był starym partyzantem. Inne cechy Ojca, które bardzo mi imponowały, a które przypisuję wojnie, partyzance i odsiadce w gestapowskim więzieniu zwińczonej fizycznej, odporność na rozstrzelanie, to niesamowita wytrzymałość fizyczna, odporność na zmęczenie i ból. Gdy dostał pierwszego zawału – nawet o tym nie

Ponieważ Kolo Krakowskie TAWP nie miało swojej siedziby, wykłady odbywały się gościnnie na Uniwersytecie Jagiellońskim, w Towarzystwie Astronomicznym, w przedszkolach Waldorfskich, w kilku szkołach oraz w prywatnych mieszkaniach w tym w mieszkaniu Profesora.

Bardzo pięknym gestem ze strony Profesora było wygłoszenie pod koniec lat 90-tych w Liceum w Krakowie – Bieżanowie serii wykładów na tematy kosmologiczne. W całkowicie wypełnionej młodzią sali (około 500 uczniów) panowała cisza i skupienie, ogromne zainteresowanie, a po wykładach bardzo głębokie refleksje młodych słuchaczy.

W ostatnim już roku życia wygłosił kilka pogadanek w Domu Pomocy Społecznej w Krakowie na temat biblijnej Genesis. Prezentacja tematu wywołała w słuchaczach, w podeszłym już wieku, głębokie refleksje nad sobą: „czy pochodzę z nieba czy z ziemi?” a także skłoniła ich do uwidocznienia własnych przeżyć w malowanych przez siebie obrazach.

Profesor Konrad Rudnicki był dla nas nie tylko wykładowcą. Zawsze miał czas na rozmowę z osobą poszukującą wyjaśnień lub powierzającą mu swoje życiowe problemy.

Bywał wówczas nie tylko mądrym doradcą ale i przyjacielem. Mając wielkie doświadczenie życiowe oraz dorobek naukowy i duchowy okazywał mistrzostwo w bezpośredniej rozmowie. Jedną wypowiedzią pełną pogody, humoru i sytuacyjnej głębi potrafił zmienić widzenie czyjegoś losu.

Będąc członkiem Rady Ekumenicznej w czasie oficjalnych spotkań przedstawiciele nauki i różnych wyznań pełnił nieocenioną rolę znawcy wielu zagadnień, pojęć i tematów, w czym nie mały udział miało jego doświadczenie antropozoiczne.

Wzbudzał powszechny szacunek i cieszył się ogromnym autorytetem niezależnie od wieku osób z którymi miał do czynienia. Jego bycie naukowcem, kapłanem i antropozofem w jednej osobie pozostanie dla nas wykładnią owocnej i podziwianej jedności..

Bolesława Habdank – Wojewódzka, Zofia Miśkiewicz, Anna Czekańska, Halszka Podgórska-Dutka, Beatrix Podolska, Kraków

Pokolenia następców będą czerpać ze skarbnicy jego wiedzy, spisanej w licznych książkach i czasopiśmie. Każdy, kto miał okazję go poznać, nie tylko ma z tego satysfakcję i dobre wspomnienia, ale czuje jakąś jego szlachetną cząstkę w sobie.

Bogdan Wszolek

=====

Radycznie nieortodoksyjny w dążeniu do Prawdy...

Ciąg dalszy ze str. 11

Uprawianie przez Profesora ścisłych dziedzin nauki powodowało, że jego wykłady antropozoficzne były pozbawione afektacji, utrzymane w przewidzianych ramach tematycznych i niezwykle zrozumiale pomimo podejmowanych trudnych tematów..

A to, że był kapitanem sprawiało, że podbudowa Jego myśli była przepełniona ciepłem i zrozumieniem sytuacji człowieka. I dlatego też mogli Go słuchać ludzie nie związani bezpośrednio z antropozofią.

Do wykładów przygotowywał się niezwykle starannie. Niezależnie od miejsca w którym odbywał się wykład i niezależnie od ilości obecnych osób, wykład był prowadzony z wielką powagą i szacunkiem do przedstawianego tematu. Cechowała go wielka odpowiedzialność za wypowiedziane słowo, w życiu prywatnym również. Będziemy zawsze pamiętać pliki matych karteczek, na których miał zapisane główne hasła i punkty swych wystąpień.

Profesora cechował wielki szacunek do wszystkich słuchaczy, niezależnie od rodzaju i formy stawianych w dyskusji pytań. Odpowiadał z wielką powagą na nawet najbardziej kontrowersyjne pytania. Potrafił jednak również z wielką skromnością i szczerością prawdziwego naukowca odnieść się do wypowiedzi niektórych słuchaczy: „nie potrafię teraz odpowiedzieć, ale dziękuję za zwrócenie mi na to uwagi”

wiedział. Dowiedział się od lekarza podczas badań. Lekarz był zdumiony, bo większość ludzi mając taki zawal traci z bólu przytomność, a Ojciec po prostu gorzej się poczuł i musiał usiąść. Był świętym piechurzem. W Kalifornii chodził na piechotę na wzgórze palomarskie. Kiedy po tygodniu rozpadł mu się amerykańskie buty poszedł do sklepu z reklamacją. Sprzedawca spytał zdumiony: Co pan robił w tych butach?! Chodziłem – odpowiedział Ojciec. Aha, to trzeba było od razu mówić, to są buty do samochodu – powiedział sprzedawca i dał inne, do chodzenia, które przetrwały kilka dekad. Ponadto Ojciec był odważny. Potrafił zwrócić uwagę chuliganowi demolującemu przystanek. Legendy mówią o bójkach, w które się wdawał stając w obronie kobiet. Gdy była taka potrzeba, potrafił po prostu przywalić. Jeśli takich sytuacji było mało, to tylko dla tego, że obracał się w środowiskach, w których do bójek dochodziło rzadko. Gdy mama martwiła się o niego jak w nocy wracał z obserwatorium, mówił: „*Czego mam się bać? Stary partyzant jestem*”. Być może spora część ludzi rozprawiająca z nim o sprawach duchowych, naukowych i filozoficznych, zwłaszcza w późniejszym okresie jego życia nie zdawała sobie sprawy, że ma przed sobą po prostu twardego faceta, który jeszcze długi czas po wojnie chodził z pistoletem Walther w kieszeni. Znaczący przy tym, że mimo ogromnych pokładów energii, by nie rzecz wręcz agresji, które miał w sobie potrafił nad nią panować. Nigdy mnie nie bił. Nigdy też nie klął. Nawet w chwili największego wzburzenia potrafił mówić wyjącznie językiem parlamentarnym. Pozostał starym partyzantem do końca. Kiedy Sejm V kadencji przymierzał się w ramach dekomunizacji do odebrania byłym żołnierzom AL dodatku kombatanckiego, ojciec pokłiwał głową z politowaniem i powiedział: tak, bo jedynym o czym myślałem w partyzantce, to ile będę miał z tego dodatku do emerytury.

Ale imponował mi też ojciec jako obyty w świecie naukowiec, człowiek o szerokich horyzontach. Znał wielu ciekawych ludzi z różnych branż (m.in. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, Stanisława Lema, Tadeusza Mazowieckiego, Jerzego Nowosielskiego, Ninę żonę Sergiusza

Prokofiewa, Karola Wojtyłę), chodził do teatru i filharmonii, cytował z pamięci Tuwima. Dużo rozmawialiśmy na najrozmaitsze tematy i Ojciec zawsze cierpliwie wszystko mi tłumaczył. Nie zbywał mnie, nigdy nie usłyszałem od niego „jesteś za mały, żeby to zrozumieć”. Coś zawsze byłem w stanie zrozumieć i tyle mi tłumaczył. Często też mówił „nie wiem, muszę sprawdzić” co o dziwo zupełnie nie podkopywało w moich oczach jego autorytetu, przeciwnie – dodawało autentyczności. Gdy czegoś nie wiedział sięgał po encyklopedię, słownik wyrazów obcych, lub jakąś inną książkę i szukał dotąd aż znalazł. A gdy szukanie w kolejnych tomach nie przynosiło rezultatów a ja znudzony mówiłem: tato, już nie szukaj, nie ważne, Ojciec nie przerywając szukania odpowiadał: ale ja sam jestem ciekaw. Był niesamowicie punktualny i dokładny, co również przypisyuję jego naukowej profesji. Myślę też, że jego poczucie humoru było najbliższe temu, które obserwowałem u innych astronomów. Miał dystans do wszystkiego, przede wszystkim do siebie. Potrafił się szczerze śmiać z siebie, ze swoich ułomności i błędów. Ale trudno nie mieć dystansu, kiedy bada się obiekty oddalone o miliardy lat świetlnych.

Miał też szereg cech, które przypisyuję jego bardzo świadomemu chrześcijaństwu. Na przykład nigdy o nikim nie mówił źle. Twierdził, że nie ma wrogów, tylko przeciwników. Nawet jeśli owi przeciwnicy traktowali te relacje zupełnie inaczej i potwierdzali to swoim zachowaniem, Ojciec autentycznie ich szanował. W każdym potrafił znaleźć dobre cechy. O wyjątkowych kanaliach (np. swoich oprawcach z gestapo) mówił: biedaczki. I to nie była ironia tylko szczerze współczucie dla kogoś, dla kogo prawdziwe problemy zaczynają się dopiero po śmierci. Potrafił odróżnić człowieka od jego uczynku. Nawet jeśli krytykował uczynek, nie krytykował człowieka. Był spowiednikiem, co miało wpływ na jego niebywałą dyskrecję. Wiele osób przychodziło do niego po poradę, zwierzało się ze swoich problemów i nawet jeśli nie była to spowiedź *sensu stricto* – zawsze treść tej rozmowy pozostawała pomiędzy Ojcem a rozmówcą. Inną cechą wyphywającą z wiary była bardzo daleko posunięte zaufanie do ludzi. Przez niektórych nadwyrażane. Ojciec był tego

mistrzem, doradcą i przyjacielem. Był dużo więcej niż zasłużonym astronomem. Otworzył nowe dziedziny badań, ma ogromny dorobek, na trwałe zapisał się w światową naukę i pozostawił po sobie szkołę uczniów. Jest ojcem tego wszystkiego, co dziś wielkie w polskiej astronomii. Zostawił podręcznik tłumaczony na kilka języków, na podstawie którego, wyklada się na wielu uczelniach świata. W Obserwatorium Astronomicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie pracował przez większość swego aktywnego życia, zainicjował badania galaktyk i ośrodka międzygalaktycznego. Tematyka ta podniosła prestiż ośrodka i dała mu wysoką międzynarodową pozycję. Dwie ostatnie książki Konrada Rudnickiego: „Zasady kosmologiczne” (2002) oraz „Człowiek i Środowisko” (2008), mają wartość ponadczasową, której pełne odkrycie i zagospodarowanie ma dopiero nastąpić.

Konrad Rudnicki był równocześnie wysokiego formatu naukowcem i wspinałym popularyzatorem astronomii. Równie często głosił referaty na poważnych konferencjach naukowych, jak na spotkaniach dla miłośników astronomii i podczas różnego rodzaju występów publicznych. Był członkiem wielu naukowych towarzystw astronomicznych, ale także stowarzyszeń skupiających amatorów zainteresowanych astronomią. Swoje dzieła i artykuły w równej mierze adresował do uczonych, co do studentów, uczniów i miłośników astronomii. W obszarze działań edukacyjnych warto wymienić chociażby: budowę w okresie młodzieńczym (podczas II wojny) amatorskiego obserwatorium astronomicznego w Dobrej Wodzie pod Sulejówkiem, redakcję Uranii, działalność w ramach Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii, autorstwo wielu wydań podręcznika astronomii dla klas maturalnych, autorstwo niezliczonych artykułów popularyzujących astronomię na łamach wielu czasopism popularno naukowych, udział w jury na wielu olimpiadach i konkursach astronomicznych dla młodzieży.

Na niebie zostawił kometa „Rudnicki”. Na ziemi, w Jerozolimie, rosnące drzewo Sprawiedliwego wśród Narodów Świata. U swoich synów serdeczną pamięć i naśladowanie ojca. Wśród uczniów i naukowych dzieci pozostaje niedoścignionym wzorem do naśladowania, jeśli idzie o sposoby dociekania prawd, umiejętności ich obrony oraz dzielenia się nimi.

został skazany przez niemiecki sąd polowy na karę śmierci i tylko cudownym zbiegiem okoliczności uniknął egzekucji. Po wojnie podjął studia na Uniwersytecie Warszawskim i w 1949 roku ukończył je zdobywając tytuł magistra astronomii. Najmocniejszy wpływ na jego rozwój astronomiczny mieli Włodzimierz Zonn (w Warszawie) oraz Fritz Zwicky (w California Institute of Technology w Pasadenie). Jako młody astronom przeszedł transformację od ateizmu do wiary w Boga i stał się gorliwym chrześcijaninem. Zdobył odpowiednie wykształcenie teologiczne i został wyświęcony na księdza w Starokatolickim Kościele Mariawitów. Konrad Rudnicki był astronomem, teologiem oraz metodologiem i historykiem nauki. Studia odbył w Uniwersytecie Warszawskim oraz w Mariawickim Seminarium Duchowym w Płocku. Pracował na Uniwersytecie Warszawskim, California Institute of Technology w Pasadenie, Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, Wyższej Szkole Środowiska w Bydgoszczy. Jako visiting professor prowadził badania w Mathematisch-Physikalisches Institut w Dornach oraz Rice University w Houston. Pełnił liczne funkcje duszpasterskie. Jest autorem lub współautorem ponad 130 publikacji w językach kongresowych, w tym wydanego w Rosji i Stanach Zjednoczonych podręcznika astronomii gwiazdowej i około 400 podręczników, książek, broszur i artykułów w języku polskim. Do jego osiągnięć w dziedzinie astronomii należy opublikowanie w roku 1972 najgłębszego w owym czasie przeglądu galaktyk w tzw. Połu Jagiellońskim. Jest odkrywcą komety nazwanej jego nazwiskiem. W dziedzinie teologii opracował pierwsze krytyczne wydanie objawień Marii Franciszki Kozłowskiej. W dziedzinie metodologii nauk jego naukowym testamentem jest monografia o zasadach kosmologicznych. Był członkiem wielu towarzystw naukowych, między innymi Międzynarodowej Unii Astronomicznej i Powszechnego Towarzystwa Antropozoficznego. Został wybrany członkiem Wołnej Europejskiej Akademii Nauk. Otrzymał wiele odznaczeń wojennych i cywilnych, między innymi honorowe obywatelstwo Izraela. Każdy, kto miał przyjemność i zaszczyt współpracować z profesorem Rudnickim wspomina to z wielką wdzięcznością. Jako wybitny uczony i wspaniały wychowawca młodzieży był dla współpracowników mentorem,

świadom, ale uważał że i tak lepiej pomagać i od czasu do czasu dać się „sfrajerować”, niż stale się zastanawiać kto w jaki sposób może zagrozić. Po prostu żył w zgodzie z aktem strzelistym „Jezu ufam Tobie”. Umart chyba najlepszą śmiercią z możliwych. We własnym łóżku, w objęciach kochającej żony, dożywszy sędziwego wieku, będąc do końca sprawnym umysłowo.

(*for. autor*)

Dawid Sulej Rudnicki

Nic nie wzrusza nieba bardziej, jak śmierć astronoma

(*c.d. ze str. 1*)

Tytułowe słowa wypowiedziane przez „uczniã” nad trumnã „mistrzã” oddają nastroj towarzyszący odejściu Konrada Rudnickiego, genialnego człowieka o ogromnej wiedzy i przeogromnej życzliwości.

Zaduma nad Wszczęświatem, zwłaszcza jego ewolucją i ustawiczną dążnością do harmonii, zawsze pomagają człowiekowi w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie: jak żyć? Wiele wskazuje na to, że dobre życie zasada się z jednej strony na wysiłku dla pogłębienia wiedzy o otaczającym świecie, z drugiej na pracy dla wzrostu w sferze etycznej. Ludzie, którzy podejmują oba wysiłki jednocześnie należą do rzadkości, ale to oni mają największe szanse na szlachetne spełnienie się dla dobra świata. Konrad Rudnicki był wspaniałym przykładem człowieka urzeczywistniającego zrównoważony rozwój w obu tych istotnych obszarach i swoim przykładem pięknie ilustrował prawdę, że gwarantem prawdziwego postępu jest człowiek coraz lepszy i człowiek coraz bardziej oświecony.

Konrad Rudnicki wychował się w rodzinie o poglądach silnie lewicowych. Podczas wojny zgłosił się, jeszcze jako nieletni, do partyzantki. Walczył z Niemcami w oddziałach Gwardii Ludowej. Niezależnie w jego domu rodzinnym przechowywano Żydów. Schwytany podczas jednej z bitew



Konrad Maria Paweł Rudnicki

ASTRONOM, TEOLOG, FILOZOF

Minister generalny Zgromadzenia Mariawitów, emerytowany profesor zwyczajny Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesor zwyczajny Wyższej Szkoły Środowiska w Bydgoszczy, były pracownik: Uniwersytetu Warszawskiego, Mariawickiego Seminarium Duchownego w Płocku i California Institute of Technology w Pasadenie, współpracownik: Mathematisches Physikalisches Institut w Dornach, Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie oraz Rice University w Houston, członek Wolnej Europejskiej Akademii Nauk, Międzynarodowej Unii Astronomicznej, Powszechnego Towarzystwa Antropozoficznego, duszpasterz w Mińsku Mazowieckim, Łowiczu, Warszawie, Pasadenie, Sosnowcu, Houston i Krakowie.

Partyzant Gwardii Ludowej i Armii Ludowej odznaczony odznaczeniami wojennymi i cywilnymi, krajowymi oraz zagranicznymi w tym medalem Jad Waszem i honorowym obywatelstwem Państwa Izrael.

Zmarł dnia 12 listopada 2013 roku w 88 roku życia i 55 roku kapłaństwa

Obrzęd pogrzebowy odbył się na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie

dnia 19.XI.2013 o godzinie 13.00.

**żona, synowie, synowe, wnuki, wnuczki,
prawnuki i prawnuczki**



fot. arch.